

"Ekspedycja"

Michał 'Veron' Tusz

Próba wyjaśnienia zagadki.

Rozdział I: Ogłoszenie

"Poszukiwani śmiałkowie do ryzykownej wyprawy w bliżej nieokreślonym kierunku, lecz jasno określonym celu.

Tylko dla odważnych.

O szczegóły pytajcie u Harolda lub doktora Richarda."

- "Tylko dla odważnych", co? – zamruczał pod nosem niski, brodaty jegomość, spoglądając na pisaną odręcznie kartkę, zawieszoną na tablicy ogłoszeń przy wejściu do The Hub. Odbijała ostre, majowe słońce, rzucając się w oczy z daleka.

- Co wy tam kombinujecie, co Haroldzie? – zapytał głośniejsze.

- Wpadnij dzisiaj do ratusza, a wszystkiego się dowiesz, Bobby – odrzekł Harold, jak zwykle z uśmiechem na ustach. – A jeśli nawet się nie dowiesz, to przynajmniej wypijesz darmowego drinka – dokończył po chwili.

- He he, masz dar przekonywania, Haroldzie – zaśmiał się brodaty Bobby. – O której?

- Koło szóstej – odrzekł Harold. – Pamiętaj zabrać żonę.

- Po co?

- Żeby miał cię kto odprowadzić do domu. Mamy tego naprawdę dużo...

Bobby oddalił się, rechocząc.

Takie ogłoszenia od kilku dni wisały w kilku miejscach w mieście i, trzeba przyznać, były obiektem sporego zainteresowania. Zręcznie skonstruowany, zwięzły komunikat i trafnie dobrane słowa przyciągały ludzi wszelkich profesji niczym bramin muchy. Głównym zajęciem Harolda, który specjalnie na tę okazję odrzucił całkiem intratne zlecenie i pozostał w mieście, było w ostatnich dniach udzielanie informacji na temat planowanej przez niego wyprawy. Przez niego i jego dobrego przyjaciela, doktora Richarda Greya.

Doktor Grey był lekarzem w The Hub, powszechnie lubianym i szanowanym, mającym duży autorytet wśród obywateli. Z Haroldem znali się od ponad czterech lat. Wtedy to młody handlarz z The Hub okazał pomoc nieco starszemu od niego, sprawiającemu wrażenie zagubionego, lekarzowi, ściągając go do nowopowstałej osady pośrodku trasy między ruinami dawnego Los Angeles a Junktown. Dzięki jego pomocy doktor Grey szybko otrząsnął się i stanął na nogi, odrzucając "demony przeszłości", jak zwykł określać stare zaszłości, i zaczął robić to, w czym był najlepszy – pomagać ludziom. Od tej pory obaj panowie zaprzyjaźnili się, odkrywając w sobie podobny światopogląd, mentalność i sposób postrzegania wielu spraw. Harold, który był już wtedy szefem karawany w The Hub, często wpadał z wizytą do Richarda – oczywiście lekarz zabronił mu tytułowania siebie per "doktor" – na inteligentne rozmowy o wszelkich aspektach życia.

Karawany Harolda działały bardzo prężnie, handlował chyba z wszystkimi miastami i osadami w południowej Kalifornii. Jako jedyny karawaniarz nawiązał nawet kontakt ze zmutowanymi ludźmi z przedwojennego miasta Bakersfield, których normalni ludzie bali się jak ognia, złośliwie nazywając "umarlakami" lub "ghułami",

zaś ruiny dawnej metropolii – "Nekropolis" albo "Cmentarzyskiem". A byli to po prostu biedni ludzie, ofiary wojny, tak straszliwie pokarani przez los, szukający spokoju i normalnego traktowania przez pozostałych. Pewnego razu na prośbę Richarda Harold zabrał go tam, by lekarz mógł przyrzeć się tragicznym efektem promieniowania i wojny. Niestety, akurat wtedy ghule były w podłym nastroju i przepędziły karawanę Harolda.

Rzecz jasna nie wszystko szło tak kolorowo, jak mogłoby się wydawać. Zdarzało się, że karawany były atakowane przez bandytów. Początkowo były to pojedyncze, niewielkie grupy "obdartusów", jak zwykł nazywać ich Harold. Wystarczyło wystrzelić z pistoletu dwa razy w powietrze, a tchórzliwi chojracy szybko wpadali w popłoch i nie stanowili większego zagrożenia. Jednak z czasem napady zaczęły się nasilać. Harold zorientował się, że na pustkowiu musiała powstać bardziej zorganizowana grupa bandycka, ponieważ ataki postępowały wedle wcześniej ustalonych schematów. Nie były już chaotyczne – "na hura" – ale trącały zawodowstwem. Ponadto łupieżcy często bywali ubrani w podobny sposób i nosili na torsie wyhaftowaną wielką literę "V", niektórzy mieli także tatuaże w takim kształcie. Wtedy to zaczął wynajmować strażników, którzy trzymali pieczę nad bezpieczeństwem ludzi i dóbr.

Czas mijał, The Hub rozwijał się. Angus, założyciel osady, mądry i stanowczy, choć czasem nieco porywczy, człowiek, rad był, że powoli przeradza się ona w coraz większe miasto. Cieszył się każdym aspektem życia w The Hub. Sam pomagał nowym mieszkańcom w osiedleniu się, jak i starszym obywatelom w codziennym życiu. Z Haroldem znali się bardzo dobrze. Często Angus mówił o młodym karawaniarzu, że to "motor napędowy rozwoju The Hub". Kiedy tylko dowiedział się od niego, że już nie tylko bandyci stanowią zagrożenie dla karawan na pustkowiu, w zupełności poparł pomysł Harolda i doktora Greya.

Na kilkanaście minut przed godziną osiemną Harold otworzył drzwi do ratusza miejskiego, jakim był murowany budynek w samym centrum miasta, i stanął w wejściu wyczekując zainteresowanych udziałem w wyprawie. Nie musiał długo czekać na pierwszych ciekawskich. W ciągu kwadransa zebrała ich się ponad trzydziestka. Przybył nawet Angus, doktor Grey nieco się spóźnił. Na sali panował gwar.

Harold już miał zamykać drzwi, gdy drogę przestąpiła mu para młodych, ciemnoskórych ludzi.

- A wy co tu robicie? – zapytał, mierzając ich wzrokiem.

- Jesteśmy zainteresowani udziałem w wyprawie – odrzekł młody chłopak, błyskając śnieżnobiałymi zębami.

- No, i w wielkiej przygodzie zarazem – dodała dziewczyna o wielkich, wyrazistych oczach i czarnych włosach zaplecionych w niezliczoną ilość cienkich warkoczków.

Harold zaśmiał się krótko.

- Wy? Cholera, to dobre... Dopiero wyskoczyliście z pieluch, a już wam przygody w głowach?! – wskazał im ręką drogę powrotną. – Do domu, ale już!

- Daj spokój, Haroldzie – zaperzył się chłopak. – Mamy już po dwadzieścia pięć lat, nie boimy się, chcemy pomóc...

- Bez dyskusji! – przerwał mu Harold.

- Ale!...

- Nie, Mark! – zakończył, witając człowieka w kowbojskim kapeluszu.

Francine nie dawała za wygraną.

- Wujaszku... – powiedziała słodkim głosem. – Przecież posłuchać możemy, prawda?

- Dobra, dobra, nie bierz mnie pod włos!... – Harold pogroził jej palcem. Francine posłała mu promienny uśmiech i zatrzepotała rzęsami.

- No, wujaszku...

- Niech wejdą – dobiegł ich niski, męski głos z prawej strony. Szedł ku nim wysoki, postawny mężczyzna w białym kitlu, uśmiechający się znad okularów. W dłoniach trzymał jakieś papiery. – Od słuchania jeszcze nikomu nic się nie stało.

- No nie wiem, Richardzie – odrzekł Harold. – To, co mogą usłyszeć wcale nie będzie miłe.

- Przecież nie są już dziećmi – odrzekł Richard.

- Coś cię zatrzymało?

- Pani Doubtfire przyszła na konsultację. Ma ciągłe problemy z nogami... Harold przewrócił oczyma.

- No, no... – powiedział lekarz ostrzegawczym tonem. – Zaczynamy już – wszedł do ratusza. Mark i Francine ruszyli za nim, ale Harold zatrzymał ich.

- No dobra, niech wam będzie – powiedział cicho. – Ale po spotkaniu: siusiu, paciorek i spać!...

Mark klepnął go przyjacielsko w ramię i rzekł:

- Wujaszku, jesteś spięty jak wtedy, gdy opiliśmy twojego bramina. Wyluzuj... I wszedł do środka. Francine posłała mu buziaka w powietrzu i dołączyła do Marka. Harold pokręcił głową.

- To wcale nie było śmieszne – powiedział cicho. – Biedny Virgil... To rozwolnienie męczyło go całe trzy dni...

Rozdział II: Przetąńcz ze mną aż do końca...

Sala ratusza wypełniona była do ostatniego miejsca. Interesanci siedzieli, śmiali się, rozmawiali. Harold podszedł do siedzącego za biurkiem doktora Greya i obaj spojrzeli na audytorium. Przybyło prawie czterdzieści osób. Angus podszedł do nich i szepnął:

- Możemy zacząć?

Richard skinął głową. Obaj z Haroldem wstali. Angus podszedł do mównicy i rzekł donośnym głosem:

- Proszę o spokój! Witam wszystkich i dziękuję za przybycie w tak liczny gronie. Nie chcę zabierać czasu organizatorom, więc w tej chwili oddaję im głos. Doktorze...

Richard zajął miejsce Angusa.

- Moi drodzy... – zaczął, – wiem, że wielu z was to uznani za odwagę i szanowani za waleczność wspaniali wojownicy, wieloletni strażnicy karawan – na te słowa Harold uśmiechnął się pod nosem, a po sali przebiegł pomruk połączanej próżności. – Razem z moim przyjacielem szukamy wśród was kilku ochotników, którzy podjęliby się ochrony ryzykownej wyprawy. Zapewne zauważyliście anonsy, które wywiesiliśmy w całym mieście. Będzie to coś w rodzaju wyprawy badawczej, takiej prewencyjnej ochrony dla przyszłości waszych dalszych wędrowek w karawanach. Organizujemy ekspedycję naukową.

- Co ona ma na celu? – zapytał ktoś z końca sali.

- Jak zapewne wiecie – ciągnął dalej doktor – na pustkowiu trzeba się zmagać z wieloma niebezpieczeństwami. Wiem, że ostatnio coraz częściej jesteście atakowani przez bandytów...

- "Vipersi", psia mać... – przerwał mu brodaty Bobby i splunął na podłogę. – Jeśli chcecie rozbić tę bandę kastratów, to ja się piszę!...

Na sali podniósł się gwar, wielu powstało ze swych miejsc, złorzecząc wymienionej przez Bobby'ego nazwie gangu łupieżców.

- Spokojnie, spokojnie! – uciszył ich doktor Grey. – Nie do końca o nich mi chodzi. Chociaż na pewno takie bandy są zagrożeniem, to... Mówię o czymś dużo bardziej niebezpiecznym, co jest skutkiem niedawnej wojny. O czymś, co na większą skalę może całkowicie uniemożliwić podróżowanie w szyku... O czymś nie do końca... *ludzkim*.

Na sali zapadła cisza. Wsparty na długiej strzelbie wysoki mężczyzna z wystylizowaną bródką i w czarnym kapeluszu pociągnął z menażki, którą wyjął zza pazuchy.

- Doktorze – zapytała nieśmiało Francine – czy chodzi panu o te stwory z Bakersfield?

Doktor spojrzał na Harolda, który odpowiedział na zadane pytanie:

- Nie. Ghule, jak zwykliśmy ich nazywać, są niegroźni. Chyba, że się ich sprowokuje, wtedy potrafią zrobić użytek z broni... Doktor Grey mówił o innych stworach, nazywanych przez nas *mutantami*. W drodze spotkałem się z nimi już kilkakrotnie. Są dużo więksi od ghuli, dużo silniejsi i, z tego co zauważyłem, dużo mniej bystrzy. Tak czy siak potrafią narobić ogromnych szkód w karawanie. Rozumiecie zatem, że sprawa jest poważna.

Doktor Grey powiedział:

- Tak, poważna i bardzo niebezpieczna. Nie zatrzymujemy tu nikogo na siłę, kto nie chce dalej słuchać lub nie jest zainteresowany... Naprawdę do nikogo nie będziemy mieć żalu. Nikogo też nie zamierzamy zmuszać.

W tym momencie kilkanaście osób wstało ze swych miejsc i zaczęło opuszczać salę, potrząsając głowami. Niskim głosem odezwał się siedzący w pierwszym rzędzie mężczyzna z czarną bródką i kapeluszem:

- Dokąd zamierzacie się wybrać?

- Tu jest, niestety, kolejny problem – odrzekł Harold. – Wiemy tylko, że najwięcej jest ich na zachodzie, północnym zachodzie... Przynajmniej jakiś czas będziemy musieli iść w ciemno.

- Nie wiemy skąd oni pochodzą, chcemy to odkryć – dodał Richard. Kolejnych kilka osób opuściło salę ratusza.

- Dobrze, więc przejdźmy do sedna! – krzyknął brodaty Bobby. – Jaka jest płaca? Harold i Richard znów spojrzeli po sobie.

- Gwarantujemy jedynie wyżywienie i zapasy amunicji na drogę – powiedział lekarz. – Przykro nam, ale... nie stać nas na zapłatę do jakiej wielu z was jest przyzwyczajonych, czy jaką by sobie zażyczyło.

Na sali znów podniósł się tumult. Do uszu Harolda i Richarda dobiegały słowa: "Kpiny!", "Co wyście sobie myśleli?!", "Strata czasu!". Wielu machało z pogardą rękoma i wychodziło. Lekarz i karawaniarz spodziewali się tego, ale mieli cichą nadzieję, że znajdzie się chociaż garstka takich, którzy poświęcą swój czas w wyższej sprawie. W końcu na sali pozostali jedynie oni, Angus, Mark i Francine, mężczyzną z bródką w pierwszym rzędzie i kilku innych w końcu sali. Doktor Richard westchnął i spuścił wzrok. Jego bystre oczy wyrażały głębokie rozczarowanie. Harold był podenerwowany i mruzczał pod nosem coś o śmierdzących tchórzach. Brodaty Bobby, szurając nogami podszedł do niego i rzekł:

- To było do przewidzenia. Szkoda waszego czasu, panowie, bo pewnie i tak niczego nie odkryjecie. Nie w dwie osoby.

Harold mimowolnie zacisnął pięści. Bobby odszedł w kierunku wyjścia, mrużąc do siebie:

- I drinków też nie było...

- Drinków?! – zaperzył się Harold. – Jak ci dam drinka, ty śmierdzący obszcymurze...

- Haroldzie, Haroldzie... – uciszył go Angus. – Cóż, panowie... Ciężko mi cokolwiek powiedzieć. Jestem z wami całym sercem i życzę szczęścia. Tymczasem, muszę już iść. Do zobaczenia...

Mer miasta opuścił ratusz. Doktor Grey zaczął zbierać z biurka kartki, które przyniósł ze sobą. Harold spojrzął po sali. Kilka osób wciąż siedziało na swych miejscach. Jedną z nich rozpoznał.

- Ted?

- Witaj, Haroldzie – odrzekł całkowicie siwy, starszy mężczyzna. Wstał z miejsca i prężnym krokiem podszedł do niego. Wymienili energiczny uścisk dłoni.

- Ted, cholera, co się z tobą działo? – zapytał Harold.

- Aaa... – Ted machnął ręką. – Bywało się tu i tam. Właśnie wróciłem z Junktown. Witam, panie doktorze – powiedział w kierunku Richarda.

- Dzień dobry... czy my się znamy? – odrzekł lekarz, patrząc na niego znad okularów.

- Zapewne mnie pan nie pamięta – powiedział Ted, idąc z wyciągniętą ręką w kierunku doktora. – Ted O'Connor. Dwa lata temu udzielił mi pan pomocy. Gdyby nie pan... pewnie wachałbym już kwiatki od spodu.

- Ach... przykro mi, nie pamiętam – odpowiedział lekarz z lekkim zakłopotaniem, ściskając dłoń Teda.

- Nic nie szkodzi – odrzekł Ted, i oparł ręce na biodrach. – W każdym razie czas spłacić dług, na mrówczy odwłok. Oferuję swoją pomoc w waszej wyprawie.

Harold spojrzął na Richarda – lekarz był równie zaskoczony jak i on.

- Cóż... ee, świetnie – powiedział doktor. – Bardzo się cieszę, tylko... w trzech będzie co najmniej ciężko...

- W czterech – powiedział nagle wysoki mężczyzna z bródką, wstając ze swego miejsca w pierwszym rzędzie. – Ja również się zgłaszam.

Harold wyszczerzył zęby i rzekł:

- Hehe, wystarczyło trochę poczekać. Hałastrą poszła się uchlać, a prawdziwi wojacy zostali.

- Jestem Vincent Braver – powiedział mężczyzna, ściskając dłonie pozostałym. Robił wrażenie – czarna skóra, w którą był ubrany, szeleściła, stukot ciężkich butów roznosił się echem po sali. Rewolwer zachybotał w kaburze, bojową strzelbę zarzucił na ramię – Mówią na mnie Hardy.

- Bardzo nam miło, panie Vincencie – odrzekł doktor Grey, z błyskiem nadziei w oczach. – No, to już jest coś... Może jednak coś się wykombinuje. Haroldzie, ile wyniosłoby zatrudnienie dwójki strażników?...

- To nie będzie konieczne – powiedział Mark, który dotąd rozmawiał cicho z Francine na boku. – Ja i moja siostra również chcemy się na coś przydać.

Harold spiorunował ich wzrokiem.

- Nie patrz tak na nas, wujaszku – odrzekła Francine. – Nie odwiedzisz nas od tej wyprawy.

- Oczywiście, że nie – odrzekł Harold, lekko kpiącym tonem. – Po prostu zamknę was na klucz i nigdzie się nie ruszycie. Nie! – podniósł rękę, gdy Mark chciał mu przerwać. – Nie ma mowy!

- A co, boisz się, że zastrzelimy mutantą szybciej od ciebie? – zapytała Francine.

- Powiedziałem: koniec tematu – zakończył Harold, ale rodzeństwo nie dawało za wygraną:

- Chyba nie chcesz, żebyśmy nazwali cię tchórzem?

- Nie przeginaj...

- Wujaszek Harold znowu boi się...

- Przestań!

- Boi się mutantów?

- Nie, nas!...

- Dobra, już dobra!... – westchnął Harold i pokręcił głową. – Ale będę miał was na oku...

- A więc jest nas szóstka – powiedział doktor Richard, już w zupełnie innym nastroju. – W porządku, zatem...

- Chwileczkę – przerwał mu głos z końca sali. Przy oknie stał krępy mężczyzna w kowbojskim kapeluszu, z karabinem myśliwskim na ramieniu. Wyjął z ust papierosa, odrzucił i ruszył w kierunku mównicy. – Wpiszcie mnie na listę. Zack Icereef. Traper, podróżnik. Może okaże się przydatny.

Doktor Grey kiwnął głową.

- Witamy w drużynie – powiedział Harold i zwrócił się do Richarda. – I co pan na to, doktorze?

Lekarz spojrzął po wszystkich wyraźnie podbudowany i rzekł:

- Znakomicie. Zatem zapraszam dzisiaj wszystkich do saloonu. Musimy się poznać i obgadać szczegóły wyprawy. Tymczasem muszę zająć się moimi pacjentami. Do zobaczenia wieczorem.

Dla doktora Greya zdrowie jego kuracjuszy zawsze było najważniejsze.

Późnym wieczorem wszyscy uczestnicy ekspedycji spotkali się w barze niedaleko ratusza. Jak zwykle panował tu ruch, klienci przewijali się bez przerwy. Było to jedyne tego typu miejsce w The Hub, więc ludzi było co nie miara.

Doktor Grey, Harold i reszta ochotników zajęli stół w cichszym końcu obszernej sali lokalu, z dala od wejścia. Harold był oczywiście duszą towarzystwa. Znał tutaj praktycznie wszystkich. Doktorowi Richardowi również kłaniało się wiele osób.

- Jest i Bobby – powiedział nagle Harold, spoglądając w kierunku wysokiej lady baru, – wiecznie nienażarty opoj. Z nim cała nasza wałówka nie przetrwałaby nawet trzech dni. Hej, Leo! – krzyknął w kierunku siedzącego nieopodal niskiego, pomarszczonego, jak zeschły ziemniak staruszka z gitarą w ręku i ogromnym sombrero na głowie. – Zagraj coś wesołego!...

Staruszek zdjął kapelusz z głowy, ukłonił się nisko i zaczął szarpać struny w żwawym rytmie.

- "Next bomb, next bomb, dropped in my town!..."

- O, to lubię... – powiedział Harold i rozsiadł się wygodnie.

- Co do żywienia – powiedział Vincent Braver, zwany Hardym. – Czy sami mamy zaopatrzyć się w potrzebny prowiant?

- Nie – odrzekł Harold. – Wszystkim się już zająłem, a dokończę jutro. Po spotkaniu podacie mi rodzaj amunicji do waszych broni. Skompletuję całość. Żarcie też już gotowe. Chyba, że jadasz jakieś wymyślne menu, albo masz dietę – wtedy radź sobie sam.

Ted, Mark i Francine roześmiali się. Hardy uśmiechnął się krzywo – chyba inaczej nie potrafił. Doktor Grey był wyciszony, podobnie Zack Icereef, który w końcu odezwał się po raz pierwszy:

- Ja mam pytanie. Czego tak naprawdę będziemy szukać? Zrozumiałem już, że podążymy za mutantami. Wiem, czym one są. Spotkałem je. Ale nie wiem, doktorze, czy pan wie, z czym przyjdzie nam się spotkać – zwrócił się w kierunku Richarda. – To naprawdę bardzo niebezpieczne stworzenia. Są zdolne złamać człowieka jak zapalkę, a drzewo jak grubszy kijek. W ręce trzymają broń, której przeznaczeniem jest pozostać na tytanowym stelażu. Czego pan oczekuje?

Doktor Grey zmarszczył czoło i odpowiedział:

- Oczekuję prawdy. Chcę się dowiedzieć skąd one pochodzą, a raczej – co je wytwarza. Jestem prawie pewien, że to zewnętrzny czynnik. To inna rasa, ale nie powstała na drodze ewolucji i nie wydaje mi się, że są bezpośrednim skutkiem promieniowania. Chcę dotrzeć do miejsca, z którego one wychodzą, przyrzeć się im z bliska i spróbować zapobiec ich mnożeniu. Sam pan powiedział, że są bardzo niebezpieczni. Nie można czekać aż sprawy wymkną się spod kontroli.

- Jaka jest pewność, że to tylko jedno miejsce? – zapytał Hardy, drapiąc się po brodzie. – Że nie jest ich kilka, albo że to nie jakaś zorganizowana struktura?

- Wydaje mi się, że jedno – odrzekł lekarz, poprawiając okulary. – Szczegółowo wypytywałem ofiary ataków mutantów na pustyni. Z ich relacji wynika, że następowały mniej więcej z jednego kierunku. Z zachodu. Harold też to potwierdza.

- Zgadza się – odrzekł karawaniarz. – Te przerośnięte żaby przychodzą właśnie stamtąd. Chyba wyczaiły jakiś utarty szlak i zaczynają ciągnąć w kierunku osad. Myślę, że niedługo zajmie im dotarcie do Junktown, czy Los Angeles.

- A do tego nie można dopuścić – dokończył doktor Grey.

Przez chwilę uczestnicy ekspedycji ucichli. Grajek Leo zagrał powolne nuty starożytnej pieśni, nucąc pod nosem słowa, które przeszywały słuchaczy niczym pustynny wiatr:

- "Death has come so quickly burning rainbow in the skies,
Wanted to be livin', nowadays I want to die,
Angels burned by fire and Great Lord – they're now so small
Dance me to the end of war
Dance me to the end of war..."

Milczenie przerwał Ted:

- Na mrówczy odwłok, co to się porobiło... Pamiętasz, Haroldzie, tę wyprawę, gdy uratowałeś mnie przed bandytami? Zdawało się, że gorszego nie można już przeżyć...

- Oj, trochę optymizmu, Ted – odrzekł Harold z werwą i mrugnął do niego, – będzie dobrze. Przecież od razu nie rzucimy się na pierwszą napotkaną bandę i nie wystawimy się jak do odstrzału. Nie mówię, że wcale do tego nie dojdzie, ale...

- Oby do tego nie doszło – wtrącił doktor Grey. – Nie chcę, żeby komukolwiek stała się krzywda.

- Nie mniej jednak trzeba się z tym liczyć... – zakończył Mark. Wszyscy spojrzeli na niego. Powoli docierało do nich, z czym przyjdzie im się zmierzyć.

Zbyt długie roztrząsanie mądrych słów młodego człowieka nie było im jednak dane. Do baru wpadło kilka osób z krzykiem na ustach. Wyglądali jakby stoczyli przed chwilą walkę, chaotycznie nawoływali czyjegoś imienia. Powstało ogromne zamieszanie, czuć było, że stało się coś niedobrego. Harold i Richard wstali ze swych miejsc. W końcu dotarli do nich wyszarpane z kontekstu słowa: "Lekarza! Lekarza!".

Doktor Grey błyskawicznie podbiegł do przybyszów.

- Ja jestem lekarzem. Co się stało?

- Coś napadło na naszą karawanę! Są ranni! Mnóstwo rannych! Pomóżcie nam! – krzyknął mężczyzna z zakrwawioną głową.

- Prowadźcie nas! – zdecydował Richard. Przybyli ludzie wypadli z baru. Za nimi pobiegł doktor Grey, Harold i większa część klientów, którzy akurat byli wtedy w lokalu.

Biegli w stronę północnego wejścia do miasta. Po chwili byli na miejscu. To, co zobaczyli przyprawiło ich o dreszcze. Niemal tuzin ludzi leżał bezwiednie na ziemi, niektórzy pomagali sobie nawzajem, wymawiali imiona, przykładali wilgotne chustki do czoł, inni krzyczeli, kolejni bez słowa ocierali krew z twarzy. Jeszcze inni w ogóle się nie ruszali, spoczywając bezwładnie tak, jak zostali zdjęci z przyczep. Wokół rannych natychmiast pojawiło się mnóstwo gapiów. Panował ogromny hałas, tumult i panika.

Doktor Grey szybko ocenił sytuację i zajął się najpierw najbardziej poszkodowanymi. Jego sprawne, dokładne ruchy przynosiły im szybką pomoc. Jeden z uczestników karawany znał się nieco na medycynie i starał się pomóc lekarzowi, mimo skręconej kostki. Harold tymczasem starał się rozgonić zebranych, by stworzyć jak największą przestrzeń dla działań Richarda. Po kilkunastu minutach pojawił się Angus. Dopiero wówczas tłum rozproszył się. Jego mocne słowa i donośny głos przywróciły mieszkańców do porządku. Doktor Grey uwijał się jak w ukropie, nie widząc przerażonych oczu Marka i Francine, zszokowanego wyrazu twarzy Teda powtarzającego swoje "na mrówczy odwłok", popijającego nerwowo z piersiówki Hardego oraz spokojnego, choć bladego oblicza trapera Zacka. Po pół godzinie najciężej rannych odtransportowano do szpitala. Niestety, trzech osób nie udało się uratować.

Harold możliwie delikatnie starał się dowiedzieć, co było przyczyną napaści na karawanę. Spytał o to człowieka, który pomagał doktorowi Greyowi. Richard, będący w tym momencie obok rozmawiających, usłyszał dławione płaczem słowa mężczyzny:

- Wielkie, zielone potwory. Trzy razy większe od normalnego człowieka... Na wzgórzach jakieś dwa dni drogi stąd, może nawet więcej, bo uciekaliśmy bardzo szybko... Nie wiem dlaczego... Chyba po prostu znaleźliśmy się w złym miejscu o złej porze. Nie prowokowaliśmy ich, to oni rzucili się na nas, jakby to było dla nich wyjście na spacer... Co to w ogóle jest?!... Co się dzieje?...

Harold i Richard wymienili spojrzenia. Zrozumieli, że słowa Marka sprzed kilkunastu minut mogą mieć większe znaczenie, niż mogliby przypuszczać.

Klezmer w barze dokończył swoją pieśń, której sens jak cień miał odtąd towarzyszyć ekspedycji doktora Greya:

- "Cities totally ruined, people look like living dead

Going through the wasteland 'cause of scenes inside my head

Hating's crawling through me and I did lost even hope

Dance me to the end of war

Dance me to the end of war..."

Rozdział III: Dwudziesty drugi maja

Następnego dnia Harold zajął się przygotowaniem ekwipunku do wyprawy. Na jedzenie, amunicję i sprzęt wydał znaczną część swoich oszczędności, a dzięki znajomościom i wrodzonej charyzmie – nabył znacznie więcej, niż zrobiliby to inni, za tę samą kwotę.

Ted O'Connor, Hardy i Zack Icereef posiadali własną broń, więc na głowie Harolda było jedynie zdobycie naboju. Ted miał na stanie wysłużony rewolwer. Zack – karabin myśliwski ze zmodyfikowaną lunetą. Hardy zażyczył sobie amunicji do strzelby bojowej, rewolweru oraz pocisków o wysokim kalibrze. Na pytanie Harolda o broń, do której miałby ją dostać, odrzekł tylko: "Może się przydać".

Sam Harold również posiadał sprawny pistolet. Dla Marka i Francine zakupił dwa pistolety Mausera oraz strzelbę powtarzalną. Wciąż odradzał im udział w wyprawie, jednak wiedział, że mu się to nie uda. Rodzeństwo było zdeterminowane. Byli przestraszeni, ale jednocześnie podbudowani okropnymi obrazami, jakimi ujrzeli poprzedniej nocy. Chcieli bardzo pomóc zwalczyć to zło, którego byli świadkami. Harold rozumiał ich, bo czuł się podobnie, a jego sprzeciw na udział młodzieży w ekspedycji wyraźnie złagodniał.

Doktor Grey od rana doglądał kilku wędrowców, którzy ucierpieli najpoważniej poprzedniego dnia. Na szczęście ich stan znacznie się poprawił i wczesnym popołudniem mogli opuścić jego małą klinikę. On zaś, skupiony i zamyślony, zajął się kompletowaniem swojego wyposażenia.

Wczesnym wieczorem uczestnicy wyprawy spotkali się na krótko w szpitalu doktora Greya, który powiedział:

- Wyruszymy jutro o świcie. Nie chcę wzbudzać niepotrzebnej sensacji, gdy miasto obudzi się na dobre. Noc będzie naszym sprzymierzeńcem. Harold już mnie poinformował, że dysponuje przenośnym oświetleniem, więc nie powinno być z tym większego problemu... – urwał na moment. – Kto nie czuje się na siłach, jest jeszcze szansa na rezygnację. To ostatni moment.

Spojrzał się po zebranych. Harold przyglądał się Markowi i Francine. Oboje wyprostowali się i nabrali do płuc więcej powietrza, co mogło oznaczać tylko jedno – "Idziemy!". Ich oczy błysnęły, odznaczając się jeszcze bardziej na czarnej skórze. Hardy, stary Ted i traper Zack odważnie patrzyli na doktora Greya. Ten zaś dokończył:

- A zatem do jutra, drodzy państwo. Wyśpijcie się, czeka nas długa i ciężka wędrówka.

Uczestnicy ekspedycji rozeszli się miejsc spoczynku, milcząc.

Okolo godziny trzeciej rano Harold kończył przymocowywanie solidnej przyczepy do umięśnionego bramina. Już miał się zabrać za ładowanie ekwipunku do wagonu, jak zwykle się określać takie zestawienie zwierzęcia i pojazdu, gdy zjawił się doktor Grey z torbą lekarską. Bramin poruszył się zaniepokojony nagłym pojawieniem się człowieka.

- Spokojnie, Virgil – Harold poklepał go po potężnym karku. – To tylko przyjaciel...

Zwierzę zmierzyło wzrokiem Richarda i natychmiast się uspokoiło. Lekarz uśmiechnął się i zaczął wraz z Haroldem wrzucać sprzęt do przyczepy. Po kilku minutach pojawili się Ted, Mark i Francine oraz Zack. Hardy nadszedł, gdy wagon był już załadowany. Ciągnął za sobą jakiś długi i ciężki przedmiot, który osadzony był na niewielkim wózku, a raczej stojaku z zamontowanymi kółkami. Wszyscy spojrzeli się na niego, ale jedynie Harold nie miał na twarzy wypisanego zdziwienia, za to uśmiech. Hardy dołączył do grupy i oznajmił:

- Poznajcie moją miłość. Oto Adelaida. Wspaniała M60, która jeszcze nigdy mnie nie zawiodła.

Mark i Francine uśmiechnęli się słabo, a Ted aż zagwizdał. Zack Icereef i doktor Grey jak zwykle byli poważni.

- Daj tutaj tę ślicznotkę – powiedział Harold, szczerząc zęby. – Nie pozwolimy przecież, żeby męczyła się chodzeniem.

Po chwili broń była już umiejscowiona na przyczepie.

- Skoro wszystko gotowe, ruszajmy... – zdecydował doktor Grey.

Wtedy nagle ich uszu doszły dziwne odgłosy. Donośny baryton wykrzykiwał groźby i obelgi w kierunku, wyglądającego na bardzo młodego, chłopaka, którego sylwetkę zauważyli biegnącą w ich stronę. Chłopak dobiegł do grupy i wydyszał:

- Proszę, pomóżcie mi!... Ten maniak zaraz mnie zabije...

- O co chodzi? – zapytał Richard.

- Proszę, po prostu powiedzcie, że jestem w waszej karawanie!... – w oczach chłopaka doktor zauważył błaganie.

Tymczasem właściciel donośnego barytonu, korpulentny jegomość z bujną brodą, dobiegł do nich.

- Chodź tu, ty przeklęty bachorze!... – rzucił się z rękoma do chłopaka, który ukrył się za Hardym, najwyższym z obecnych tu ludzi. Doktor Grey powstrzymał napastnika.

- Hola, hola, spokojnie! Co tu się dzieje? Dlaczego chcesz go dopaść, Elliot?

- Och, przecież to pan doktor... – Elliot opamiętał się i nieco uspokoił. – Przepraszam, ale ten drań jest mi winien grubą kasę i ma ją oddać! I to zaraz!

- Nic ci nie jestem winien!... – odrzekł chłopak, jeszcze bardziej skrywając się za Hardym, któremu niebezpiecznie drgał policzek.

- Hej, Elliot, młody właśnie rusza z nami – Harold przyszedł z pomocą Richardowi, odgadując jego myśli. – Jak wróci, dostanie zapłatę i będzie mógł spłacić długi...

- A ja?! Za co mam żyć?! – zachnął się gruby Elliot. – Tobie nigdy kasy nie brakowało, a ja ciągle muszę kombinować!

- Spokojnie – ponownie rzekł doktor Grey. – Jak słyszysz, wszystko zostanie ci zwrócone. Teraz pozwól nam wyruszyć, gdyż już mamy poślizg.

- Tak, tak... – Elliot spieszył się. – Dobrze, panie doktorze. Dziękuję. Udanej podróży...

Rzucił jeszcze spojrzenie na młodego człowieka, którego ścigał za rzekome długi, mamrocąc coś pod nosem, i zawrócił na pięcie. Chłopak podszedł do Harolda i doktora Richarda i rzekł:

- Uff, dziękuję... Naprawdę, bardzo mi pomogliście...

- Jasne, a teraz zmykaj do domu – odpowiedział Harold, podchodząc do bramina.

- Nie mamy czasu na jakieś głupie żarty.

- Przecież uznaliście mnie za członka karawany – odrzekł zdziwiony chłopak.

Wszyscy spojrzeli na niego jak na idiotę.

- Dla picu, panie kolego – odrzekł Harold powoli, tak, żeby to do niego dotarło. – Uratowaliśmy ci skórę, więc odwdzięcz się i łaskawie się wynoś.

- Wyluzuj, stary – odpowiedział chłopak nonszalancko. – Mogę się wam przydać. Jestem zawodowym saperem. Bomby i miny wprost wpadają mi do rąk rozbrojone.

- Tak, kłopoty również – mruknął pod nosem Ted.

- Dobra, dobra – odpowiedział chłopak, unosząc ręce. – Tę kasę uczciwie od niego wygrałem. Nie ma prawa się o cokolwiek przyczepić...

- Słuchaj, młody – powiedział Harold zniecierpliwiony. – Spadaj stąd, bo cię poszczuję moim bykiem!...

- Haroldzie... – powiedział cicho Richard.
- Przecież nawet nie raczył nam się przedstawić!
- Ach, pardon, ale gafa – młody klepnął się w czoło. – Jestem Morton Carrie Junior. Do usług.
- To imię dostałeś na wyprzedaży garażowej? – zapytał Harold, na co reszta parsknęła śmiechem, nawet Zack i Richard się uśmiechnęli. Młodego Mortona jednak to nie zraziło. A może znowu nie rozumiał? W każdym razie powiedział:
 - Więc dokąd idziemy?
- Harold kręcił głową z niedowierzaniem.
- Ile ty masz lat, dzieciaku?
- Dwadzieścia trzy – Morton wyszczerzył zęby.
- I mówisz, że jesteś doświadczonym saperem?
- A jakże!
- Kogo ty próbujesz oszukać, co?
- Przecież mówię prawdę!
- Hardy, choć spuścimy mu lanie, jakie powinien dostać od swojego ojca, albo Elliota!...
- Haroldzie! – zagrział Richard. – Ruszajmy już. Jeżeli Morton tak bardzo chce, niech idzie. Nie widzę przeszkód...
- Ależ, Richardzie!... – zaczął Harold, ale lekarz powstrzymał go jednym ruchem ręki. Podszedł do niego i szepnął:
 - Zobaczysz, sam zrezygnuje i to szybciej, niż byś się tego spodziewał.
- Harold westchnął i rzucił młodemu Mortonowi pogardliwe spojrzenie.
- Niech będzie i tak – powiedział po chwili.
- Morton uśmiechnął się jeszcze szerzej i klepnął Harolda w ramię, gdy ten szedł w kierunku swojego bramina.
- Zobaczysz, jeszcze będziemy dobrymi kumplami...
- Harold przymknął oczy i powiedział cicho:
 - Bogu dzięki, że nie mam dwóch głów, tak jak ty, Virgil...

Ruszyli. W niedługo po opuszczeniu The Hub zaczęło świtać. Szli dość szybkim marszem w kierunku dokładnie północno-zachodnim. Ustalili to wspólnie po przeanalizowaniu ich dotychczasowej wiedzy z uwzględnieniem ostatnich faktów, czyli ataku na karawanę, której pomogli w mieście. Szli w milczeniu, spodziewając się lada chwila napotkać na hordę mutantów, ale do niczego takiego nie doszło. Czy "na szczęście" nie spotkali?

Doktor Grey jednak przeliczył się co do Mortona Carrie'go Juniora, nazywanego odtąd "Młodym". Gdy tylko dowiedział się on, jaki jest faktyczny cel wyprawy, zbladł, ale nie zarzucił plecaka na ramię i nie uciekł w odwrotnym kierunku. Wprost przeciwnie – miał kolejny powód do bezustannej dyskusji, a raczej monologu, bo jakoś nikomu nie spieszo było wszczynać z nim dysputy. Dla Marka i Hardego był bardzo irytujący, do Richarda i Zacka nie wiele się odzywał – chyba czuł do nich respekt. Za to bez przerwy próbował nawiązać kontakt z Francine, która najwyraźniej spodobała mu się. Jednak ona nie była nim zainteresowana i trafnymi docinkami gasiła jego zapędy. Ted oraz Harold, który swoim zwyczajem już zdążył się do niego przyzwyczaić, mieli z tego sporo ubawu.

Po prawie dziesięciu godzinach drogi zatrzymali się na krótką przerwę. W ciągu pół godziny nieco odpoczęli, napiili bramina i spożyli posiłek. Był to suchy prowiant oraz zapuszkowana żywność. Richard obawiał się nieco, że dodatkowy członek

wyprawy w postaci Młodego może spowodować szybsze wyczerpanie się zapasów, jednak Harold uspokoił go, że wody, jedzenia i amunicji nie powinno im braknąć.

Po postoju ruszyli dalej. Popołudniem ich oczom ukazały się wzgórza. Wyostrzyli czujność, mając w pamięci obrazy sprzed kilku dni. Było jednak pusto, ani śladu pobytu, czy przejścia żadnych żywych organizmów – ludzi, zwierząt ani humanoidów. Wspięli się na szczyt płaskiego pagórka w momencie, gdy słońce schowało się za horyzont. Postanowili rozbić obóz i przeczekać tutaj noc.

Po kolacji doktor Grey otworzył notatnik z czarną okładką i zapisał: "Dwudziesty drugi maja. Pierwszy dzień ekspedycji minął spokojnie. Rozbiliśmy obóz na wzgórzach. Żadnych oznak wędrowek mutantów. Czekamy. Ruszamy jutro z samego rana."

Zamknął dziennik i spojrzał na Harolda, który jakby odgadł jego myśli mówiąc:

- Cieszyć się, czy niepokoić?

Richard zdjął okulary i przetarł oczy.

- Cieszyć, że nie ma ich tak blisko i jednocześnie niepokoić o to samo... – odrzekł i zapatrzył się w dogasający ogień watry.

Rozdział III: Na zachód

Wędrowka postępowała dalej. Przechodzili przez wzgórza, które wcale nie okazały się łatwe do pokonania. Najwięcej trudności sprawiały wąskie ścieżki biegnące pod górę, zwłaszcza dla bramina ciągnącego przyczepę z wyposażeniem. Każdy wziął do ręki swoją broń, by maksymalnie odciążyć zwierzę. Przepaście nie były zbyt wielkie – były to raczej głębsze doliny – tak czy siak stanowiły pewne zagrożenie. Być może człowiek wyszedłby cało z potknięcia się na łagodnym zrębie, ale zwierzę już niekoniecznie, nie wspominając o utracie ekwipunku. Na szczęście udało im się pokonać przeszkody, choć postoje musiały być nieco dłuższe. Przez to ujrzeli opadający stok, a za nim nie kolejne wzgórze, lecz równinę, dopiero wczesnym popołudniem piątego dnia podróży.

W trakcie zejścia z ostatniego pagórka natrafili na coś, co sprawiło, że zmęczenie ustąpiło niepokojowi i podnieceniu. Był to opuszczony obóz, który musiał przez jakiś czas zamieszkiwać człowiek lub grupa ludzi. Wygasłe, bardzo obszerne palenisko otaczały ślady czyjejś niedawnej bytności – porozrzucane kłody, jakby służące do siedzenia, czy posiłku, leżące stosy gałęzi, czekające na swoją kolej wrzucenia do ogniska. Coś jednak nie było do końca zwyczajnego w tym widoku – wszystko wydawało się nad wyraz duże.

Doktor Grey, Harold i reszta w milczeniu przypatrywali się tym obrazkom. W końcu odezwał się Ted:

- Myślicie, że nasi wrogowie obozowali tutaj?

- Prawdopodobnie – odrzekł lekarz. – Komu chciałoby się tu przynosić tak ogromne kłody drewna. W ogóle ścinać takie drzewa...

- Albo wrywać z korzeniami – powiedział nagle traper Zack.

Reszta grupy podeszła do niego. Stanęli w szeregu i szerokimi oczyma oglądali powalony, wysoki cis, wyrwany z ziemi wraz z ogromnymi kłęczami.

- Na mrówczy odwłok... – szepnął Ted.

- Może... – zaczęła słabym głosem Francine – była jakaś wichura?...

Zack podeszedł do drzewa i przyjrzał mu się.

- Doktorze, niech pan to zobaczy – powiedział.

Richard podszedł do niego.

- Niech pan spojrzysz – powiedział ciszej Zack. – Tego nie mógł zrobić człowiek...

Doktor włożył okulary i przyjrzał się śladom na korze. Były to wyżłobione rowki, które zrobić mogło tylko stworzenie o ogromnych pazurach. Ale czy istniało takie zwierzę? Czy to mogły być... *paznokcie*?

Richard otrząsnął się i spojrzął na skupioną minę Zacka.

- Czekamy? – zapytał lekarz.

Traper kiwnął głową i rzekł:

- Ale nie tutaj.

Doktor Grey zrozumiał i zwrócił się do reszty ekipy:

- Jest prawie pewne, że to mutanci. Najwyraźniej nudziło się im i urządzili sobie małą demolkę. Już półmrok, więc zostaniemy na noc w pobliżu tego miejsca. Rano poszukamy śladów, a potem...

- Doktorze, proszę pozwolić mi odnaleźć ślady teraz, a będziemy mogli ruszyć o świcie – przerwał mu Zack. – Proszę mi wierzyć, tak będzie lepiej.

Richard chwilę pomyślał i odrzekł:

- W porządku. Niech i tak będzie...

Harold podszedł do przyczepy i zdjął z niej latarkę.

- Masz, może się przydać – powiedział, wręczając Zackowi lampę.

Traper kiwnął głową i odrzekł, wskazując ręką:

- Rozbijcie tam obóz. Myślę, że sto pięćdziesiąt stóp wystarczy.

Grupa zrobiła jak powiedział. Ognisko już wesoło trzaskało, gdy Zack powrócił.

- Musimy iść na zachód – oznajmił. – Wszystkie ślady na to wskazują. Chyba nie mają w zwyczaju podnosić nóg zbyt wysoko, ziemia jest przeorana ich stopami.

- Zatem ruszamy z samego rana – odrzekł Richard i zaczął zapisywać kolejną kartę swojego dziennika. Dzisiaj zdecydowanie miał co notować.

Rano uczestnicy wyprawy ze zdziwieniem spostrzegli, że nie ma młodego Mortona. Przez kilkanaście minut nawoływali go, szukając w rzadkim lesie, lecz na nic się to zdało. Carrie Junior zniknęła.

- Cóż, pewnie ze strachu zabrudził sobie gacie i zrobiło mu się wstyd – powiedział Harold z złośliwym uśmiechem.

- Lepiej teraz niż później – odrzekł Hardy. Doktor Grey kiwnął głową:

- Tak, Hub nie jest daleko, więc powinien trafić bezpiecznie. Później mogłoby być już ciężko.

Ruszyli dalej bez Młodego. Szli teraz równiną, wyschłą, niemal pustynną, z nielicznymi, uschniętymi badyłami wbitymi w ziemię, które udawały, że są krzewami. Majowe słońce paliło coraz bardziej, choć na szczęście nie było to jeszcze pełne lato. Jednak perspektywy nie były zbyt optymistyczne – jeżeli taka pogoda utrzyma się przez najbliższe dni, będą zmuszeni wędrować w nocy, a w dzień męczyć się w ukropie.

Poza tym wciąż szukali śladów bytności mutantów, które na nieszczęście znacznie się ograniczyły. Nieliczne tropy wylapywał gdzieś Zack, ale były tak słabo zachowane, że człowiek z małym doświadczeniem i nierozwiniętą sztuką przetrwania po prostu by je przeoczył. Step nie dostarczał sposobności do rozpalenia wielkiego ogniska i rozbicia bezpiecznego obozu, toteż doktor Grey był przekonany, że większość czasu mutanci musieli wędrować – zupełnie jak jego ekspedycja. Cieszył się zatem z każdego znaku ich obecności, o jakim informował go traper.

Tempo wędrówki, dzięki równemu terenowi, nabrało tempa. Mimo dość wysokiej temperatury szło im się dobrze. Dłuższe postoje były nadrabiane szybkim marszem. Pod koniec czwartego dnia od znalezienia obozu mutantów we wzgórzach, ich oczom ukazał się niespotykany dotąd widok. Natrafili na ruiny dawnego miasta. Widok był po prostu smutny – resztki asfaltu, potłuczone płyty chodnikowe, pojedyncze żelbetowe słupy, które kiedyś stanowiły szkielety budynków, a dzisiaj rozpaczliwie wskazywały na niebo, jakby tam chciały jak najszybciej się dostać.

- Myślicie, że to było małe miasteczko? – zapytała Francine, trzymając Marka za ramię i szerokimi oczyma rozglądając się wokół. Odpowiedział jej Ted:

- Niekoniecznie. Bomby zmiotły większość tego świata i z ogromnych metropolii uczyniły takie właśnie miejsca. To mogło być kiedyś wielkie miasto, na mrówczy odwłok. Wiem, bo kiedyś sam w takim żyłem.

Doktor Richard zwrócił się do Zacka:

- Myślisz, że możemy tu przenocować?

Traper kiwnął głową i odrzekł:

- Myślę, że tak. Nigdy nie miałem żadnych przykrych niespodzianek rozbijając obóz w ruinach...

- Ja bym się jednak wstrzymał – przerwał mu Hardy – i przeszedł dalej. Tu może być niebezpiecznie.

Wszyscy spojrzeli na niego. Nieco spłoszyło go to nagłe zainteresowanie, odchrząknął i dodał:

- Wierzcie mi na słowo. Jest tu całkiem sporo sposobności do ukrycia i wcale nie musimy być tutaj pierwsi.

- Jak?... Przecież sprawdziliśmy przed chwilą, że teren jest bezpieczny – powiedział Harold, spoglądając mrużąc oczy.

- A więc głosujmy – zdecydował doktor Grey. – Kto jest za noclegiem?

Rękę podnieśli wszyscy oprócz Hardego, który rozłożył ręce i odrzekł:

- Jestem w grupie i z grupą trzymam, ale proponuję trzymanie podwójnej warty.

- W porządku – zgodził się lekarz. – Zatem rozbijamy...

Przerwał mu nagły, przenikliwy wrzask. Wszyscy spojrzeli w kierunku, skąd doszedł ich uszu. W ich kierunku biegł przerażony Morton Carrie. Krzyczał w niebogłose, machał rękoma. Hardy i Zack automatycznie chwycili za broń. Ted oraz Harold zrobili to samo. Morton dobiegł do nich i rzucił się do doktora Greya. Ten złapał go za ramiona i potrząsnął nim.

- Uspokój się! – zagrzmiął donośnym głosem. Młody wciąż wrzeszczał. – Co się dzieje?!

Z jego bełkotu można było wyłapać:

- Potwory!!! Ratunku!!!

Doktor Richard wyprostował się i utkwiał wzrok w półmroku. Młody zastąpił wrzask astmatycznym dyszeniem. Grupa w ciszy wypatrywała zagrożenia. Po chwili ich uszu dobiegło kilka dziwnych trzasków i pisków. Czy tak hałasują mutanci? Każdy z bronią podniósł ją i wycelował. Moment później zza kolumny wybiegły na nich dwa skorpiony. Oba wielkości dużego psa. Richard przymknął oczy, a Ted i Harold roześmiali się w głos. Ted i Zack bez słowa podeszli do przerośniętych zwierząt i w momencie, gdy machnęły na nich ogonami złapali za odwłoki, a stopą przycisnęli szczypcę do ziemi. Hardy podeszedł do nich i kolbą swojej strzelby roztrzaskał im łby. Po chwili zwierzęta przestały się ruszać.

Doktor Grey spoglądał teraz na Mortona, który zastygł w bladym bezruchu z szeroko otwartymi ustami.

- Już dobrze? – zapytał spokojnie.

Młody kiwnął głową i przełknął ślinę.

- Co się z tobą działo?

Morton odpowiedział dopiero po chwili.

- Chciałem... chciałem się przydać... – wydyszał. – Być pomocny... Chciałem wypatrzeć zagrożenie, ale... ale...

- Oj, Młody, Młody... – odrzekł Harold i pokręcił głową z politowaniem. Choć widać było, że ruszyły go nieco te słowa. – Powiedz tak naprawdę, ile ty masz lat, co?

- Siedemnaście... – Młody spuścił głowę.

Harold spojrzał się na Marka i Francine, których zaszokowanie po niedawnej akcji ustępowało, a zastąpiła je litość. Doktor Grey tymczasem schylił się i obejrzał ramię Mortona. Ten wzdrygnął się i rzekł:

- Ach, to... nic takiego... Jeden z tych... pajaków ze szczypcami mnie drapnął.

- Odwłokiem? – zapytał doktor. Młody kiwnął głową. Richard podszedł do przyczepy i sięgnął do swojej torby. Wyjął z niej różową butelkę. Odkręcił korek i podał Mortonowi.

- Weź dwa łyki i nie więcej – powiedział. – To zapobiegnie ewentualnemu zatruciu.

- To one są... trujące? – zapytał Młody ze strachem.

- A jak myślisz, geniuszu? – odrzekł Harold. – Słyszałeś kiedyś o "nietrujących" skorpionach?

Młody spojrzał na niego z tępyim wyrazem twarzy. Po chwili zamknął usta i energicznie potrząsnął głową. Wziął do ust butelkę.

- No właśnie – dodał Harold. – Ja też nie słyszałem jeszcze o myślącej młodzieży o imieniu Morton...

Wszyscy uśmiechnęli się. Richard spojrzał na niego karcąco i powiedział:

- Wystarczy tego gadania. Myślę, że teraz możemy zaryzykować rozbitcie obozu w tym miejscu.

Spojrzał na Hardego, który lekko skinął głową. Harold podszedł do Marka i Francine i powiedział cicho:

- Miejcie na niego oko, co? Wiem, że jest uciążliwy i... ale to tylko dzieciak, sami słyszeliście. Nie chcę, żeby sprowadził na nas prawdziwe kłopoty.

- Jasne, wujaszku – odrzekł Mark.

- Poza tym jestem dumny, że nie daliście nogi na widok tych skorupiaków...

Francine spiorunowała go wzrokiem. Harold uśmiechnął się i odszedł. Rodzeństwo podeszło do młodego Mortona, któremu z oczu płynęły teraz łzy wielkie, jak grochy.

Rozdział IV: W górach

Po przygodzie ze skorpionami ekspedycja ruszyła dalej na zachód. Młody Morton uspokoił się i nie męczył już wszystkich swoimi wyssanymi z palca opowieściami, choć nadal upierał się co do jednego – że jest zawodowym saperem.

Jedenastego dnia podróży ponownie natrafili na tereny górzyste, które majaczyły w oddali już od kilku dni. Teraz spostrzegli jednak, że gdyby przyszło im zmagać się z nimi, mogliby natrafić na nie lada trudności. Góry były bowiem znacznie wyższe niż te, które spotkali w niedługo po opuszczeniu The Hub, bardziej strzeliste i kamieniste. Zmniejszyła się także temperatura powietrza, co wyszło na dobre podróżującym. Postanowili obejść góry, kierując się na północny-zachód. Niestety, jakiegokolwiek ślady obecności mutantów, czy choćby zwierząt zanikły niemal całkowicie.

Popołudniem natrafili na przeszkodę w ich wędrówce. Stali przed głęboką, okazałą przepaścią, którą od bardzo stromego stoku z lewej strony oddzielała wąska ścieżka. Wędrówka z prawej strony nie wchodziła w grę ze względu na zbyt kamieniste podłoże – bramin Harolda zwyczajnie nie ustałby na nogach. Nie mieli wyboru. Grupa zatrzymała się i naradzała.

- Na mrówczy odwłok, nie ma wyjścia, Haroldzie – mówił Ted. – Każdy bierze swój ekwipunek i idziemy gęsiego.

- A jeżeli ścieżka się zwęzi? – pytał Harold, niecierpliwie spoglądając w dół ogromnej dziury. – Co z wagonem? Virgil też może się nie zmieścić, nie mówiąc o tym, że na pewno się przestraszy. Podobnie z resztą, jak ja...

- Damy sobie radę – odrzekł Hardy. – Zajmiesz się braminem tak, by się nie zląkł. A my...

- Co!? Niby weźmiecie wózek w ręce? – zadrwił Harold.

- Dokładnie – odrzekł Zack. – Kiedyś już tak przechodziłem. Przy odpowiednim nachyleniu powinno się udać. Oczywiście musi zostać maksymalnie opróżniony. Ta dróżka nie jest długa – spojrzał przed siebie. – To raptem jakieś dwieście stóp.

- Poza tym nie zapominaj, Haroldzie, że wózek ma koła, a my mamy rozum – dodał Richard. – Bądź dobrej myśli.

- Aha, dobrej myśli – odrzekł Harold i westchnął. – Przy Młodym też miałem być dobrej myśli...

Członkowie wyprawy zaczęli wyciągać z przyczepy cały ekwipunek. Po kilku minutach pozostało w nim jedynie kilka manierek z wodą, które nie mieściły się już w dłoniach, a które Harold przymocował do prawej ścianki przyczepki. Po tym podszedł do bramina z płachtą. Poklepał go po obu karkach i bez przerwy mówiąc założył woreczek na głowy. Virgil zadrżał niespokojnie, ale uspokajany głosem swego pana, zaczął za nim powoli dreptać. Pierwszy szedł doktor Grey, za nim Francine i młody Morton, którzy dźwigali ogromne działo Hardego. Następnie Harold i jego bramin, a za nimi Ted i Mark, którzy sterowali torem jazdy przyczepy. Pochód kończyli Hardy i Zack.

Pierwsze trzydzieści stóp przeszli bez przeszkód. Ścieżka była wąska, ale nie na tyle, by wózek nie mieścił się w niej. Harold również spokojnie szedł obok swojego bramina. Jednak już po chwili zaczęły się kłopoty. Mniej więcej w połowie drogi Harold był zmuszony wyprzedzić Virgila i, trzymając worek na jego głowach, iść tyłem. Richard, widząc to, puścił przodem Francine i Młodego, i asekurował karawaniarza. Mark, Zack i Hardy także zaczęli odczuwać zwężenie ścieżki. Ted wyszedł przed wózek. Mark doszedł do samego wózka, jako że najpierw dreptał przy rozdwojonym bolcu, który Harold zakładał braminowi tuż za zadem, i przyciągał go w swoją stronę. Zack szedł po stoku i tylko dzięki dobremu obuwiu nie przechylał się w stronę przepaści. Hardy prawą nogą zsuwał się już w dół, lecz zapierał się własną strzelbą. Obciążenie w postaci ekwipunku dodatkowo sprawiało, że marsz był szalenie niewygodny.

Nagle Hardy natrafił prawą nogą na obłuzowany kamień. Krzyknął, łapiąc się koła przyczepy i zawisł. Zack zsunął się z pochylenia i ze wszystkich sił ciągnął wózek do siebie. Mark podskoczył do niego, Ted złapał za prowadnice, zastępując jego miejsce. Bramin Harolda wierzgnął i zaczął przeraźliwie wyć. Wpadł w szal i zaczął machać głowami, chcąc zderzyć z siebie ciemny worek. Harold robił, co mógł, żeby go uspokoić.

- Richardzie! – krzyknął. – Musimy sprowadzić go do parteru!

- Jak?!

- Ciągnij kark ku ziemi!

Obaj mocowali się z okropnie silnym zwierzęciem. Po chwili bramin ustąpił i ukląkł na przednie kolana. Harold bez przerwy do niego mówił. Richard ostrożnie wyminął ich. Nagle bramin ponownie wierzgnął i trafił Teda w udo. Ted zachwiał się i niebezpiecznie przechylił nad urwisko. Richard doskoczył do niego i w ostatniej chwili pociągnął ku sobie, zapobiegając upadkowi w przepaść.

- Ted, trzymaj wózek! – powiedział.

Lekko zamroczony Ted kiwnął głową. Lekarz obszedł z prawej strony wózek trzymany za burtę przez Marka i Zacka i najszybciej jak mógł podszedł do Hardego. Lewą ręką złapał się wystającego głązu, a prawą podał Braverowi. Ten zawahał się.

- Nie bój się! – powiedział zdecydowanie.

Hardy spojrzał mu krótko w oczy i swoją lewą ręką chwycił Richarda. Przyczepa obsunęła się lekko. Hardy zadrżał, ale Richard go nie puścił. Braver wisiał teraz trzymając się lewą ręką lekarza, a prawą – koła przyczepy.

- Na mój znak puść wózek i złap za ten konar! – wskazał głową wystający z ziemi kikut zeschniętego krzewu. Hardy kiwnął głową.

- Teraz!

Hardy puścił oponę. Richard całą swoją siłą przyciągnął go do siebie. Braver zadyndał niebezpiecznie nad przepaścią, ale złapał wystającego korzenia. Doktor Grey pomógł mu wspiąć się na ścieżkę. Po chwili obaj leżeli zmęczeni na dróżce. Usłyszeli rumor wciąganej na ścieżkę przyczepy przez Zacka, Marka i Teda. Pomogli im. Przez chwilę nikt nic nie mówił.

- Mam propozycję: wynośmy się stąd... – powiedział Harold, przerywając milczenie.

Richard kiwnął głową. Ustawili przyczepę w pozycji wygodnej do marszu – lewe koło jechało po stoku, a prawe po środku ścieżki, przez co wózek był mocno przechylony. Asekurowali go bardzo ostrożnie i zaczęli powoli poruszać się do przodu. Mijali właśnie najwęższy odcinek dróżki. Nagle wszyscy zamarli, gdy z góry zleciało kilka kamieni wielkości ludzkiej głowy. Góra była tutaj niemal pionowa. Zack zapukał lekko w obudowę przyczepy. Spojrzeli na niego, a on przyłożył palec wskazujący do ust. Dreptali niemal w miejscu, nie wydobywając z siebie nawet szeptu.

Richard spojrzał w kierunku, w którym szli. Zostało jakieś sześćdziesiąt stóp. Nagle zobaczył, że ze stoku wystaje ostro zakończona skała, akurat na wysokości jazdy przyczepy. Dojechali do przeszkody. Za nią ścieżka znacznie się rozszerzała. Zatrzymali się i spojrzeli po sobie. Zack kiwnął ręką tak, by pochyliłi lub zbliżyli się ku niemu.

- Musimy postawić wózek na sztorc i przenieść go ręcznie – wyszeptał.

Tak zrobili. Richard został w tyle, a Mark i Ted, którzy szli z przodu przyczepy oraz Zack i Hardy z tyłu ostrożnie ustawili ją do pionu. Znaleźli sobie miejsca, za które mogli chwycić.

- Na mój znak podnosimy na dwa cale – szepnął Zack. – Trzy, dwa, jeden...

Podnieśli wózek na minimalną wysokość i zaczęli iść. Posuwali się do przodu dosłownie o pół stopy. W momencie mijania wystającej skały wózek zachybotał, ale zdążyli zapobiec jego bardziej niebezpiecznej kołysce. W końcu minęli przeszkodę i zeszli ze ścieżki, za którą czekała już reszta grupy. Ulga odebrała im siły i chęć do rozmowy. Usiedli wokół przyczepy spoglądając na górę i przepaść. Nie mogli uwierzyć, że zdążyli ją pokonać.

- Dziękuję, doktorze – powiedział Hardy i pociągnął łyk ze swojej menażki. – Po prostu... dziękuję...

- Ja również – dodał Ted. – Już drugi raz mnie pan ocalił...

Richard kiwnął głową i odrzekł:

- Jesteśmy jedną drużyną, tak?... Musimy sobie pomagać, żeby przetrwać.

Spojrzeni na bramina Virgila, który trząsał obiema głowami, szczęśliwy, że jego koszmar już się skończył. Nie miał pojęcia, jak podobnie czuli się ludzie, z którymi przyszło mu wędrować.

Obóz rozbili nieopodal niebezpiecznej ścieżki, w wyrwie skalnej. Płaski, kamienny teren był niezwykle wygodny. W nocy obudził ich nagły wstrząs. Zerwali się z swych prowizorycznych śpiworów, myśląc, że to atak bandytów lub mutantów. Jednak nikogo nie zauważyli w pobliżu. Nie słyszeli także wybuchów, czy wystrzałów. Richard uspokoił grupę:

- Trzęsienie ziemi. To normalne w tych okolicach...

Jego słowa przerwał okropny hałas. Harold podskoczył do spłoszonego Virgila. Wszyscy spojrzeli w kierunku ścieżki, którą pokonali kilka godzin temu. Z góry spadały ogromne kamienie i głazy. Horrendalna lawina schodziła stokiem. Rumor był wielki, mimo że byli w dość znacznej odległości. Trwało to kilkanaście sekund.

- Chyba ktoś nie chce, żebyśmy tu przeżyli... – skwitował Harold. – Najwyraźniej te góry nas nie lubią.

Położyli się pod koce i już bez przygód przespali do rana.

Ruszyli dalej, gdy słońce było już dość wysoko. Mimo przygód i niebezpieczeństw, doktor Grey nie zapominał o celu wyprawy. Ślady mutantów bowiem zanikły, co wcale go nie zadowalało. Szli teraz kamienistą doliną w kierunku północno-zachodnim i nic wokoło nie wskazywało na ich obecność w tej okolicy. Podzielił się tymi wątpliwościami z resztą ekipy.

- Myśli pan, doktorze, że nasza marszruta zmierza w złym kierunku? – zapytał po chwili Ted O'Connor.

- Mam przecucie, że nie podążamy właściwie – odrzekł Richard. – Cały czas mam wrażenie, że oddaliśmy się od naszego celu, a nie do niego zbliżamy. Coś nam umknęło, coś przeoczyliśmy. Ale co?...

- Jest jeden plus – powiedział Harold z swoim charakterystycznym uśmiechem. – Może zobaczymy ocean. Chętnie ległbym na plaży i zabrazował sobie nieco swoją kredowo białą skórę. Hubiacy boją się umarłaków z północy, a sami wyglądają jak topiele...

Jak zwykle jedynie doktor Grey zachował powagę. Szli dalej w milczeniu, które po kilku minutach przerwał niespodziewanie młody Morton Carrie:

- Jak wyglądają ci mutanci? Tyle o nich mówimy, a ja jeszcze żadnego na oczy nie widziałem.

- I lepiej niech tak pozostanie – odrzekł mu Harold. – To chodzące, zielone, bezmózgie yeti. Wielkie jak cholera i równie głupie. Ich łapska są tak długie jak ty jesteś wysoki i grube jak pnie dorosłych drzew, a kłaty mają okazalsze od całego Virgila. Wierz mi, nic przyjemnego do oglądania.

- Przemieszczają się w grupach? – zapytał Mark.

- Prawdopodobnie tak – odpowiedział doktor Grey. – Świadczenie twierdzą, że zwykle było ich więcej niż jeden. To pozwala wysunąć pewną teorię – dodał po chwili.

- Mianowicie? – zapytał Harold.

Doktor Richard poprawił okulary na spoconym nosie i odrzekł:

- To potwierdzałyby moje przypuszczenia, że to mogli być kiedyś normalni ludzie. Wskutek jakiegoś zewnętrznego czynnika zmutowali i przeobrazili się w humanoidy, które z człowieczeństwem mają wspólne jedynie wyprostowaną postawę...

- A i to nie zawsze – szepnął Harold do Hardego. – Wszyscy, których widziałem mieli pospuszczane łby, jakby im ktoś pięciokilowe odważniki do bród przywiązywał.

- ...i to, że chodzą na dwóch nogach. Natomiast to, że chodzą w grupach... Być może są to całe rodziny. Kiedyś zwyczajne, teraz – przeobrażone.

- To okrutne... – powiedziała cicho Francine.

- Ale co zmienia tych ludzi w potwory? Bardzo chciałbym się tego dowiedzieć – zakończył lekarz i zatopił się we własnych myślach, pozwalając na to samo pozostałym.

Trzynastego dnia podróży wspięli się na niewielki pagórek, by zobaczyć z pewnej wysokości, gdzie mogą się teraz znajdować. To, co zobaczyli zaparło im dech w piersiach. Życzenie Harolda spełniło się – dotarli do oceanu. Był od nich oddalony o nie więcej niż sześć mil. Pagórek, z którego obserwowali ten niezwykły widok był jednym z ostatnich przed równiną, która dobiegała do samego morza. Kontemplację tego niezwykłego widoku przerwał traper Zack.

- Spójrzcie tam – wskazał ręką na północ, odejmując lornetkę od oczu.

To, co zobaczyli było równie ciekawe jak i samo morze. Był to obóz, w którym z pewnością żyli jacyś ludzie – z ogniska, które otaczały trzy namioty buchał ciemny dym. Nagle zobaczyli, że z jednego z nich wybiega dwójka małych dzieci, a za nią dorosła kobieta. Byli oddaleni o milę, może dwie – wystarczyło zejść ze wzgórza. Doktor Grey chwycił podawaną mu przez Zacka lornetkę, Harold patrzył przez swoją lunetę, zdemontowaną kiedyś ze zniszczonej broni jednego z uczestników jego karawany. Wszyscy spojrzeli na lekarza, po chwili zdecydował:

- Idziemy w odwiedziny.

Rozdział V: Hendersonowie

Ekspedycja doktora Greya zawitała do obozu późnym popołudniem. Dwie dziewczynki, które wesoło bawiły się w dogasającym słońcu, zauważyły przybyszów i pędem skierowały się do jednego z namiotów. Po chwili wyszła z niego kobieta ze strzelbą w rękach.

- Czego chcecie?! – krzyknęła, celując w ich kierunku. Hardy złapał za swoją broń, ale Richard powstrzymał go.

- Proszę się nas nie obawiać – powiedział w kierunku kobiety. – Nazywam się Richard Grey. Jesteśmy grupą badawczą i zbłądziliśmy. Chcielibyśmy uzyskać nieco informacji o naszym położeniu.

- Tak?! A czego niby tak usilnie szukacie?

- Zagrożenia, które może być niebezpieczne dla pani i pani córek – odrzekł lekarz, – a którym nie są bandyci ani dzikie zwierzęta. Proszę nam zaufać. Nie szukamy kłopotów ani ich nie sprowadzamy.

Kobieta zawahała się, chociaż wciąż podejrzliwie patrzyła w kierunku grupy. Broń wciąż była wycelowana w ich kierunku.

- Proszę mi uwierzyć, gdybyśmy chcieli zrobić pani krzywdę, już dawno zrobilibyśmy to. Jestem lekarzem, nigdy nie kłamię.

Kobieta opuściła broń.

- Jest pan lekarzem? – zapytała. – Naprawdę?

- Tak – odrzekł Richard.

Wciąż targały nią wyraźne wątpliwości, ale przemogła się i powiedziała:

- W takim razie... Może umiałby mi pan pomóc...

Richard zwrócił się do Harolda i powiedział cicho:

- Zaczekajcie tu chwilę.

Harold kiwnął głową. Doktor Grey wziął swoją torbę i podeszedł do kobiety, która patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Uśmiechnął się łagodnie, co i ona uczyniła.

- Pan... – zaczęła.

- Richard Grey – dokończył lekarz. – Proszę mi mówić po imieniu.

- Alice Henderson – odrzekła. – Skoro jest pan doktorem, to... może mógłby pan obejrzeć moje dziecko. Od kilku dni jest strasznie rozpalony, nocami płacze, czasem nawet się dusi. Nie wiem, co mam robić...

- Proszę mi je pokazać – odparł Richard.

Weszli oboje do namiotu. Richard spojrzał w kierunku dwu małych dziewczynek, siedzących po prawej stronie zaraz przy wejściu i uśmiechnął się. Były bardzo podobne do swojej mamy, która podeszła do łóżka przy ścianie naprzeciw drzwi frontowych. Doktor Grey założył okulary i spojrzał na noworodka, którego czerwona buzia odznaczała się na jasnej pościeli. Mały chłopczyk nie spał i z ciekawością przypatrywał się nieznanemu człowiekowi. Był nad wyraz spokojny. Richard zaczął wykonywać serię rutynowych, fachowych czynności. Po kilku minutach oznajmił:

- To tylko poważniejsze przeziębienie. Dam mu coś na zabicie temperatury i na wzmocnienie. Musi po tym porządnie się wyspać i myślę, że jutro będzie już znacznie lepiej – sięgnął do swojej torby i wyjął mały słoiczek, z którego wyciągnął niewielką białą tabletkę. Rozkruszył ją w dłoni i powiedział do kobiety: - Proszę mu ją dać. Na swoim palcu, wtedy na pewno nie będzie się bał.

Alice Henderson dotknęła palcem języka, a następnie rozkruszonej tabletki i podała dziecku. Mały chłopczyk skrzywił się i zaczął machać rączkami. Matka dała mu jeszcze nieco wody. Nie rozplakał się i nadal przypatrywał Richardowi.

- Proszę spróbować ułożyć go do snu – powiedział lekarz z łagodnym uśmiechem. – Będę czekał na zewnątrz.

Alice kiwnęła głową z wdzięcznością. Richard wyszedł z namiotu i udał się w kierunku reszty grupy. Po jakimś czasie kobieta wyszła z namiotu i podeszła do członków wyprawy. Za nią dreptały jej dwie córeczki.

- Nie wiem, jak mam panu dziękować – powiedziała w kierunku Richarda, zmieszana obecnością tylu osób. – Już od bardzo dawna Adam nie usnął tak szybko i tak spokojnie.

- Jedyne sposobem na podziękę, to mówić mi po imieniu – odrzekł lekarz z uśmiechem. – Chyba się już na to umawialiśmy, prawda?

Alice również się uśmiechnęła.

- Pozwól mi przedstawić uczestników naszej ekspedycji... – zaczął i po kolei prezentował ludzi, z którymi przybył. Na koniec Harold – jak to Harold – kucnął i posłał szeroki uśmiech w stronę dziewczynek.

- A wy jak macie na imię, aniołeczki? – zapytał wesoło. Dziewczynki, które dotąd skrywały się za mamina spódnica, spłoszyły się i uciekły do namiotu. Wszyscy roześmiali się.

- Na mrówczy odwłok, Haroldzie, chyba nie masz podejścia do kobiet... – skwitował Ted.

Alice odpowiedziała za swoje córki:

- To Mischa i Monica. Niedługo powinien wrócić mój mąż, Woody. Na pewno również okaże panu... to znaczy tobie, wdzięczność.

Richard kiwnął głową i rzekł:

- Tymczasem, moglibyśmy tutaj odpocząć kilka godzin? Mieliśmy już kilka górskich przygód...

Mąż Alice, Woody Henderson, wrócił godzinę później. Zareagował bardzo podobnie do swojej żony, witając przybyszów wycelowaną bronią i szokiem wymalowanym na twarzy. Ta jednak szybko go uspokoiła i przedstawiła gości. Pan Henderson kiwał głową i szybko oddychał, ale wyraźnie uspokoił się dopiero, gdy Alice poinformowała go o interwencji doktora Greya względem ich syna. Wciąż pozostający w lekkim szoku podziękował lekarzowi:

- Bardzo dziękujemy. Już nie wiedzieliśmy, jak mu pomóc.

Richard kiwnął głową ze zrozumieniem.

Wieczorem zasiedli do wspólnej kolacji wokół ogniska, przygotowanej przez Alice. W trakcie posiłku wywiązała się rozmowa. Pytania przeważnie zadawał Harold, który zdawał się być zafascynowany rodziną, mieszkającą na pustkowiu. Wszyscy słuchali, lecz on w szczególności z ogromnym zaciekawieniem, o codziennym życiu Hendersonów, spędzaniu ich dni z dziećmi, zajęciach. W końcu powiedział:

- To zadziwiające, że są na tym świecie ludzie tacy jak wy. Nigdy bym się tego nie spodziewał.

- Dlaczego? – zapytał pan Henderson.

- Wiele podróżuję i jeszcze nie spotkałem żadnego osadnika, czy koczownika, który tak dzielnie i z uśmiechem znosiłby swój los – odrzekł. – Jesteście naprawdę wyjątkowi.

Hendersonowie uśmiechnęli się.

- Żyjemy jak umiemy najlepiej – odpowiedział Woody. – Mamy siebie, mamy wspaniałe dzieci. Mamy co jeść i gdzie żyć. Naprawdę niczego więcej nam nie potrzeba.

- Tak, po prostu jesteśmy szczęśliwi – dodała Alice i przytuliła się do swojego męża.

Richard przyglądał się im w milczeniu, ale po chwili zapytał:

- A w jaki sposób w ogóle się tu pojawiliście?

- Urodziliśmy się jeszcze przed wojną – odparł Woody. – Później przebywaliśmy w schronie przeciwoatomowym pod samą granicą z Meksykiem. Tam się poznaliśmy jeszcze jako małe dzieci. Po wyjściu, mieliśmy po siedemnaście lat. Ruszyliśmy na północ i osiedliśmy tutaj.

- Nie myśleliście nigdy o tym, by przenieść się do jakiejś osady?

- Nie. Dobrze nam tutaj – odpowiedziała Alice. – A wiemy od różnych podróżników, że miasta i tereny wokół nich są niebezpieczne. Bandyci, jakieś mutanty... Nie możemy narażać naszych dzieci...

Nagle przerwała, gdyż na te słowa cała ekspedycja zamarła w bezruchu. Co ciekawe Woody też był zdziwiony.

- Czy... powiedziałam coś nie tak? – zapytała lekko wystraszona.

- Powiedziałas: *mutanty*? – zapytał Harold, patrząc na nią szeroko otwartymi oczyma..

Alice kiwnęła głową i odrzekła:

- Tak, opowiadali o nich członkowie karawany, która przechodziła niedaleko kilka dni temu.

- Czy mówili jak wyglądali? – zapytał doktor Grey

- Tak, że byli wielcy, przypominający ludzi, ale zieloni. I podobno bardzo niebezpieczni, mówili, że mogą z łatwością zrobić krzywdę...

- Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś? – przerwał jej mąż.

- Mówiłam ci o tej karawanie, Woody...

- Ale nie o żadnych mutantach!...

- Spokojnie, na pewno twoja... – odrzekł doktor Grey.

- Jak mogę być spokojny, kiedy właśnie ich widziałem!

Wszyscy zamilkli.

- Kiedy? – zapytał cicho lekarz.

- Dzisiaj – odrzekł Woody. – Widziałem ich, gdy wracałem znad morza. Szli na północ. Dwaj, wielcy i zieloni. Przestraszyłem się nie na żarty, ale gdy dotarłem tutaj jeszcze bardziej na wasz widok i wypadło mi to z głowy.

- Czy byli agresywni?

- Raczej nie, po prostu szli. Skryłem się i obserwowałem ich z daleka. Czegoś takiego jeszcze w życiu nie widziałem – dokończył szeptem.

Harold spojrzął na Richarda, który odrzekł:

- To jest cel naszej wyprawy. Szukamy zmutowanych ludzi, którzy sieją spustoszenie w okolicach ruin Los Angeles i The Hub. Ogromnych, zielonoskórych humanoidów i miejsca, z którego pochodzą.

- Ale coś jest nie tak – powiedział Harold. – Dlaczego idą na północ, skoro według naszych danych powinny stamtąd przybywać?

Richard nie odpowiedział, ale odezwał się Woody:

- Myślę, że oni wracali. Rankiem zauważyłem wielkie ślady. Wyglądały jak stopy, ale pomyślałem, że przecież nie ma tak ogromnych ludzi. Były skierowane na południe, ale zbagatelizowałem to. No ale popołudniu wszystko jakby się uzupełniło. Te potwory szły najpierw na południe, a później wracały.

Wszyscy zamilkli.

- W tym wypadku chyba nie będziemy mieli wyjścia – powiedział Woody po chwili.

– Będziemy musieli się przenieść.

- Ale gdzie?... – odrzekła Alice cichym głosem. – Sam powiedziałaś, że szli z północy. I oni mówią, że stamtąd pochodzą – wskazała ręką na Harolda i Richarda. – Gdzie chcesz uciec, pytam?! – zdenerwowała się. Usłyszeli płacz dziecka. Alice wstała i weszła do namiotu.

Woody spuścił głowę. Richard spojrzął na niego i rzekł spokojnie:

- Ruszajcie na południe. I to jak najszybciej zdołacie. Myślę, że tam będzie najbezpieczniej.

Woody kiwnął głową w milczeniu.

- Nigdy wcześniej nie natrafiłeś na ich ślady? – zapytał lekarz.

- Nie – odrzekł i westchnął. – A było już tak pięknie...

Richard złapał go za ramię i spojrzął w oczy.

- I będzie. Uwierz w to. Rano pokazałbyś nam te ślady?

Woody ponownie tylko kiwnął głową.

- Po tym przekonaj żonę do opuszczenia tego miejsca. Bardzo cię kocha i posłucha. Teraz po prostu było to dla niej szokiem.

Członkowie wyprawy byli niemniej poruszeni od Woody'ego i Alice. W końcu ujrzeli światło w tunelu.

Wczesnym rankiem Woody zaprowadził ekspedycję doktora Greya na miejsce pochodzenia mutantów. Przypatrzyli się śladom. Bardzo przypominały te, które znaleźli

na wzgórzach niedaleko The Hub. Wreszcie znaleźli jakieś konkrety. Wrócili z panem Hendersonem do jego obozu. Alice już nie spała, ale była w złym humorze. Szybko podziękowali za gościnę i pożegnali się, ruszając na północ. Na spotkanie z przeciwnikiem. Oby...

Rozdział VI: Nareszcie

"Czwarty czerwca. Mijają dokładnie dwa tygodnie od naszego wyjścia z The Hub. Wierzę, że teraz, gdy w końcu natrafiliśmy na ślady mutantów, ekspedycja ruszy z miejsca w bardziej żwawym tempie. Uciekająca nadzieja zawróciła i uderzyła w nasze głowy ze zdwojoną mocą. Oby szczęście dopisywało tak nam jak i Hendersonom, ostatnim szczęśliwym ludziom na tym świecie."

Doktor Richard zamknął swój notatnik i zapatrzył się w ogień watry. Trzymał wartę po całym dniu bardzo szybkiej wędrówki. Teren nie był najbardziej sprzyjający do marszu, ale nie był też najgorszy, dlatego wyprawa narzuciła sobie ostre tempo. Z gór, które mieli po swojej lewej stronie wiał łagodny, chłodny wiatr, kojący ciała wędrowców, rozgrzane wiosennym, ale mocno grzejącym słońcem.

Trasa była kręta, jako że, za radą Woody'ego Hendersona, podążali tuż obok stoków. Niektóre wzgórza znacznie występowały z szeregu stojących na baczność wierzchów, toteż trzeba było je omijać. To w konsekwencji zabierało więcej czasu. Nie chcieli jednak wkraczać w góry, co chyba zrozumieli po niedawnych przygodach, więc trzymali się zaplanowanego sposobu pokonania tej trasy.

Jeżeli dotąd doktor Grey narzekał na brak śladów bytności mutantów, to teraz nie miał do tego prawa. Zadziwiające było jednak to, jak wiele szkód potrafią wyrządzić zaledwie dwa stwory. Uczestnicy wyprawy natrafiali na coraz częstsze obozy mutantów, a raczej ich zgliszcza. Wyglądały one bowiem, jak po przejściu potężnego huraganu. To, co zobaczyli na wzgórzach niedaleko The Hub było zaledwie przedsmakiem, tego, czego mieli okazję być świadkami tutaj. Potężnie zaorane podłoże, na głębokość przynajmniej jednej stopy, ogromne sosny połamane jak zapalki lub powyrywane z całym bukietem korzeni, skały ogromne jak bramin Harolda, wyrwane z ziemi i ciśnięte na ogromną odległość lub wbite między drzewa – to tylko najpoważniejsze szkody wyrządzane przez mutantów, a które spotkali na swojej drodze. Robiło to na nich ogromne, piorunujące wrażenie, ale jednocześnie wzbudzało trwogę i prawdziwy strach. I masę pytań, z czego najważniejszym było chyba – czy na pewno są tylko dwa?

Szóstego dnia takiej wędrówki byli zmuszeni zmienić nieco kierunek marszu na północno-wschodni. Natrafili bowiem na strzelisty szczyt, który ogromną przepaścią, jeszcze większą niż ta w pobliżu domu Hendersonów, skutecznie odcinał im drogę obejścia góry od zachodu. Przeszli zatem przez przełęcz pełną zaschniętych, straszących pozostałości wielkich, wiekowych sekwoi, które nie oparły się palącemu wiatru. A grzało tutaj niemiłosiernie – tuż za przełęczą ujrzeli bowiem istne pustkowie, ogromną, gorącą pustynię, która buchała na nich żarem z otchłani swego gorącego gardła. Wydawało się, że chłodny górski wiatr nie chce dotrzeć dotąd w obawie, że się poparzy. Musieli się zatrzymać, bo temperatura była naprawdę nieznośna, w dodatku w środku dnia. Ruszyli dopiero późnym popołudniem i zmuszeni byli do marszu w nocy.

Nad ranem dotarli do kolejnej przełęczy i po krótkiej naradzie zdecydowali, że z powrotem wejdą w góry. Ślady mutantów nie były już tak częste, więc warto było poszukać ich właśnie między wzgórzami. Postój zrobili około południa w cieniu gór na klepisku, które kiedyś mogło być bujnie obrosniętą polaną. Ruszyli po około trzech godzinach. Trasa była tu znacznie prostsza niż w górach, które przyszło im już pokonywać, nawet bramin Harolda mógł wygodnie ciągnąć swój wagonik, toteż tempo, jak na góry, było naprawdę niezłe. Noc spędzili pod gołym rozgwieżdżonym niebem na podobnej polanie, co kilka godzin wcześniej.

Następny dzień rozpoczął się od zdania wypowiedzianego przez Harolda, a które zatrwożyło pozostałych:

- Panowie, będziemy musieli pobawić się w wielbłądów – zaczyna kończyć nam się woda.

Wszyscy spojrzeli po sobie z obawą. Doktor Grey widząc to starał się uspokoić członków wyprawy:

- Spokojnie – powiedział – faktycznie, coraz więcej menażek jest pustych, ale nie ma jeszcze powodu do paniki. Nie mniej jednak musimy lepiej racjonować naszymi zapasami.

- Zostawmy bramina – odrzekł Hardy. – On też pije, a przecież każdy może wziąć swój sprzęt i porcję wody i iść dalej bez wagonu.

Harold spiorunował go wzrokiem.

- A może zostawimy ciebie?! – odburknął. – Też pijesz, a twoja broń, którą ciągnie Virgil, waży więcej niż wszystkie menażki na początku wyprawy!...

- Panowie, panowie... – ostro przerwał tę wymianę zdań Richard. – Nie dość macie problemów?! Kłótnia w niczym tu nie pomoże!

Hardy i Harold patrzyli na siebie krzywo, ale uspokoiili się. Po chwili lekarz zarządził wymarsz i ekspedycja ruszyła dalej.

Wędrówka w górach mogła trwać w ciągu dnia. Wiatr chłodził głowy, rozpalone słońcem i emocjami, więc szło się dobrze. Podczas postoju doktor Grey poprosił Zacka Icereefa o pomoc w podzieleniu zapasów wody. Nie zrobił tego rano, bo wiedział, że Harold i Braver mogliby poważnie się pokłócić. Uspokojeni kilkugodzinnym marszem, nie mieli ochoty na przeliczanie. Zatem wspólnie z traperem rozporządzili nimi w najbardziej sprawiedliwy sposób. Tego dnia szli do późna – ze względu na stosunkowo długi postój, ale i brak odpowiedniego miejsca na nocleg. Na domiar złego w nocy niebo przesłoniły chmury i zaczęło padać do samego rana. Zaiste dziwną jest pogoda w górach...

Ranek przywitał ich ostrym słońcem, jednak wczesnym popołudniem, gdy byli na skraju ogromnego klepiska – można powiedzieć: stepu w górach, powietrze zrobiło się strasznie parne i duszące, i po niecałym kwadransie rozszalała się potężna nawałnica. Ekspedycja musiała przystanąć, gdyż przez ścianę deszczu widzieli raptem na kilka metrów do przodu. Poza tym grzmoty, potęgowane echem, porządnie wystraszyły bramina Harolda, który odmówił posłuszeństwa i nie chciał iść dalej. Schowali się pod skalną półką i czekali.

Dopiero po ponad trzech godzinach burza ustała. Wspólnie zdecydowali, że zdążą przed zmrokiem ująć jeszcze kawałek drogi. Zack Icereef swoim zwyczajem sprawdzał jaką trasą najlepiej będzie podążyć, reszta zbierała ekwipunek. Po chwili traper przybiegł z powrotem z przejęciem wypisanym na twarzy.

- Doktorze – powiedział cicho, – musi pan to zobaczyć.

Richard poszedł za nim, podobnie jak pozostali. Za ledwie sto stóp od półki skalnej, pod którą przeczekali burzę, za niewielkim pagórkiem droga zaczęła opadać. Na jej końcu, kilkaset metrów niżej zobaczyli ruiny miasta. Pośród resztek ścian ktoś się poruszał. Doktor Grey wziął lornetkę i spojrzał w dół. Z wrażenia zacisnął mocno ręce na urządzeniu. Trzy ogromne, zielone mutanty biegały za sobą między murami, rzucając w siebie kamieniami wielkości ich głów i najwyraźniej dobrze się bawiąc..

- *Nareszcie!*... – wyszeptał tonem pełnym ulgi i podniecenia.. – W końcu ich znaleźliśmy... Kucnijcie wszyscy!...

Członkowie wyprawy na klęczkach starali się dojrzeć, co dzieje się u podnóża góry, na której się znajdowali.

- Co robimy? – spytał Harold, który odjął od oczu swoją lunetę.

- Poczekamy – odparł lekarz. – Teraz już możemy czekać. Poczekamy i poobserwujemy ich.

- A w nocy? – zapytał Ted. – Mogą dać nogę i znów ich zgubimy.

Doktor Grey zwrócił się w stronę Zacka.

- Jak długo zajęłoby nam dotarcie do tych ruin? – zapytał.

Traper rozejrzał się i stwierdził:

- Myślę, że około trzech godzin. – Spojrzał na bramina Harolda i dodał: - Może czterech.

- W porządku – odrzekł Richard. – Dzisiaj zostajemy tutaj i patrzymy. Jutro o świcie zejdziemy tam, ale nie wszyscy. Mark, Francine i Morton – zwrócił się do nich – zostaniecie tutaj z Virgilem. Nie możemy pozwolić, żeby jego obecność wykryła naszą przed mutantami. W razie czego macie broń. I głowę na karku. Zostawimy wam też lornetkę – w razie niebezpieczeństwa, szybko schodźcie na dół.

- Skąd pewność, że dojdziemy tam zanim oni nas nie zauważą? – zapytał Hardy.

- Myślę, że to byli kiedyś ludzie, a zwykli ludzie przeważnie śpią w nocy – odrzekł lekarz i spojrzał w kierunku ruin dawnego miasta. – Zwłaszcza po tak intensywnych zabawach.

Jeden z mutantów uderzał właśnie głową w solidny, betonowy słup.

Resztę dnia doktor Grey i pozostali członkowie jego wyprawy spędzili na obserwacji mutantów. Lekarz miał sposobność do bardziej obfitego wypełnienia swojego dziennika. Przygotowali ekwipunek – a tak naprawdę jedynie broń – i poszli spać, jednak sen tej nocy trwał niezwykle krótko. Być może z powodu podniecenia, które ogarnęło całą wyprawę. Obudzili się, gdy gwiazdy jeszcze mrugały do nich z nieba i zaczęli schodzić łagodnym stokiem w kierunku ruin miasta. Widzieli je dość dobrze w delikatnym blasku ubywającego księżyca, a z każdą następną minutą rosło w ich oczach coraz bardziej. Nie było aż tak zniszczone, jak te, które Harold miał okazję zobaczyć w ciągu swojej kariery karawaniarza. Zachowały się niektóre szyldy dawnych sklepów, a nawet wygasłe neony. Było jednak całkowicie opustoszałe.

Dotarli do miasta, gdy niebo było już blado-różowe. Weszli między ruiny od południowego wschodu i zaczęli obchodzić je od miejsca, w którym kilkanaście godzin wcześniej wesoło bawiła się trójka mutantów. Spojrzeli na zniszczenia, które poczyniły. Nagle doktor Grey zatrzymał pochód i wskazał ręką na północ w głąb ruin. Jakies tysiąc stóp od nich, na końcu dawnej szerokiej ulicy, zauważyli unoszący się dym z wygasłego ogniska, które mutanci rozpalili wczoraj wieczorem. Trójka stworów spała wokół waty. Szeptem zwrócił się do Hardego i Zacka:

- Co proponujecie? Jakich podejść?

- Rozdzielmy się i idźmy po obu stronach tej alei – odrzekł Hardy, poprawiając swoje ogromne działo na ramieniu, a robił to już od jakiegoś czasu. Zack przytaknął.

- Tak, w razie czego możemy szybko skryć się między ruinami – dodał.

Tak zrobili. On, Richard i Harold poszli prawą stroną ulicy, Ted i Hardy – lewą. Bardzo powoli i jeszcze ciszej zbliżali się do unoszącego się dymu. Wszyscy, oprócz doktora Greya, mieli w dłoniach broń. Przeszli już połowę trasy, gdy nagle Hardy, ponownie układając oręż na barku, potknął się i upuścił ją na ziemię z ogromnym łoskotem. Zamarli w bezruchu i automatycznie spojrzeli w kierunku mutantów. Jeden z nich poruszył się niespokojnie i nagle podniósł wielką głowę. Leżał na brzuchu odwrócony w przeciwną stronę, więc od razu nie spojrzął w tam, gdzie stali uczestnicy ekspedycji, ale już po chwili zaczął wstawać. Wtedy Richard pociągnął Zacka i Harolda ku sobie. Szybko poszli za nim i ukryli się za ścianą. Lekarz spojrzął na Teda i Hardego, który starał się podnieść upuszczoną broń. Zaczął machać ręką, żeby ją zostawił. Ted pociągnął go za barki do tyłu i wspólnie ukryli się w ruinach dawnego sklepu odzieżowego. Działo zostało na ziemi. Czekali w milczeniu, nasłuchując.

Po chwili ich uszu dobiegło szuranie ciężkich nóg po resztkach asfaltowego podłoża. Mutant powoli przemierzał alejkę, najwyraźniej w poszukiwaniu źródła hałasu, który go obudził. Doszedł na wysokość kryjówki ekspedycji i rozejrzał się. Był po prostu ogromny – jego głowa była dwa razy większa od ludzkiej, ręce przypominały młode sekwoje, tors był potężny i wielki jak pół bramina, a stopą mógłby wgnieść człowieka w ziemię. Stał tak i rozglądał się wokoło. Odszedł jeszcze kawałek i nagle... zaczął oddawać mocz. Harold spojrzął na doktora Greya, który tylko lekko potrząsnął głową i wciąż bacznie obserwował mutantą. Po kilku minutach tego przedstawienia Harold nie wytrzymał i szepnął:

- Nawet Virgil nie ma takiego spustu. Co on wydoił – całą rzekę?...

Richard przytknął palec do ust. Mutant skończył i zaczął iść z powrotem w kierunku miejsca, gdzie spali jego towarzysze. Jednak wtedy po raz pierwszy opuścił wzrok ku ziemi i zauważył leżącą broń Hardego. Podeszedł do niej. Doktor Grey usłyszał bicie własnego serca, chociaż nie był pewny, czy to aby nie Harolda. Razem z Zackiem patrzyli, co robi mutant.

Zielony stwór pochylał się nad bronią i przez długą chwilę przypatrywał się jej z ogromnym zaciekawieniem. Po chwili zaczął badać ją swymi wielkimi niczym okna dłońmi i w końcu postanowił ją podnieść. Wyślizgnęła mu się jednak z rąk i upadła, hałasując przy tym podobnie jak kilka minut wcześniej. Mutant chyba jednak nie skojarzył tych dwóch incydentów i podniósł ją raz jeszcze jakby to było piórko. Niosąc przed sobą na obu rękach powędrował w kierunku śpiących jeszcze towarzyszy. Położył broń na ziemi, usiadł przed nią "po turecku" i zaczął wnikliwie obserwować.

Doktor Grey szepnął do Harolda i Zacka:

- Musimy podejść bliżej, stąd niewiele widać.

- Możemy pójść tyłem tych budynków – odrzekł traper, – wszystko i tak jest zniszczone, w ścianach są dziury. Przejdziemy przez nie.

Doktor Grey kiwnął głową, ale Harold był bardziej sceptyczny:

- No nie wiem. To może być naprawdę niebezpieczne...

- Będzie dobrze – odparł lekarz. – Nie ujawnimy się. Poza tym mamy jeszcze swoją broń. Jeśli ich nie zranimy, to na pewno wystraszymy.

Po tych słowach kiwnął w kierunku Teda i Hardego po drugiej stronie ulicy, pokazując jak umiał najlepiej, by szli okrężną drogą. Zrozumieli i po chwili obie grupki na palcach opuściły dotychczasowe kryjówki, kierując się bliżej miejsca spoczynku mutantów. Szli najostrożniej jak potrafili, byle tylko nie wydobyć najcichszego dźwięku. Grupa doktora Greya wyszła przez ogromną wyrwę we wschodniej ścianie budynku i powoli omijała kolejne przeszkody: połamane meble, zniszczone sprzęty,

przewrócone latarnie uliczne i wszechobecne gruzy. Minęli jeszcze jeden niski budynek i szeroki stary magazyn. Na jego końcu była ulica. Doktor Grey wyrzał z za węgła i spojrzął w lewo. Tuż przy przeciwległym rogu był obóz mutantów. Ten, który znalazł broń Hardego właśnie drapał się po głowie, całkowicie zajęty badaniem działa. Postanowili wejść do magazynu. Cofnęli się nieco i weszli przez drzwi pośrodku budynku. W środku gdzieś ustawione były jeszcze puste palety, jednak nie stanowiły one takiej przeszkody jak sufit, który swoje miejsce znalazł na podłodze. Po kilku minutach udało im się pokonać istny labirynt zrujnowanego stropu i dotarli do okna mniej więcej w połowie północnej ściany magazynu. Stąd mieli już dobry widok na zielone potwory.

Po kilkunastu minutach obserwacji Zack szepnął:

- Pójdę zobaczyć, co z resztą – i wskazał ręką na okno umiejscowione podobnie, lecz na zachodniej ścianie. Richard kiwnął głową. Harold szepnął do niego, spoglądając to na mutantów, to na skradającego się Zacka:

- I co dalej? Bliżej już chyba nie da się podejść.

- Popatrzmy – odrzekł lekarz. – Tutaj raczej nie wejdą, jest dość nisko i wszystko zawalone. Nie byłoby co niszczyć.

- No tak – powiedział Harold. – Dzień bez zabawy, to dzień stracony.

Po chwili Zack wrócił i rzekł:

- Siedzą na dachu dawnego sex shopu.

Harold pokręcił głową i szepnął:

- Cholera... A my w śmierzącym magazynie... I to bez dachu...

Obserwowali bawiącego się mutanta przez bardzo długi czas. Wykonywał przy tym przedziwne ruchy – nagle uderzał się w głowę, albo walił pięściami w klatkę piersiową. Badanie broni pochłonęło go jednak całkowicie. Jego towarzysze pogrążeni byli we śnie i całkowicie się nie ruszali.

Nagle ciszę przerwał nagły wystrzał i przeraźliwy ryk, aż Richard, Harold i Zack odruchowo schylili głowy. Mutant, który znalazł działko Hardego, odnalazł spust i postanowił sprawdzić do czego służy. Jednak na swoje nieszczęście trzymał dłoń na wylocie lufy. Wystrzał rozerwał mu ją. Dwa pozostałe mutanty zerwały się na równe nogi, spojrzały na towarzysza i również zaczęły wrzeszczeć, wykrzykując w kierunku postrzelonego: "głupi Matt! głupi Matt!". Mutant nazwany Mattem patrzył się z przerażeniem na krew sączącą się z tego, co pozostało z jego dłoni, pozostałe dwa zaczęły biegać wokół niego. Były przerażone. Mutant Matt zrobił się bladozielony. Jeden z biegających wokół niego zbliżył się ku niemu, rozerwał płachtę, którą był przepasany i próbował zawiązać na okaleczonej ręce Matta. On jednak nie był chętny do współpracy, wykrzykując: "boli! Betty! boli!... domu! domu!... boli!". Betty uderzyła go mocno w głowę i krzyknęła:

- Pomogę! Głupi Matt!...

Matt chyba zrozumiał, zacisnął zęby i pozwolił opatrzeć się towarzyszce. Doktor Grey zauważył, że wyglądała ona dokładnie jak i on – nie było żadnych różnic w anatomii ich nagich klatek piersiowych. Trzeci mutant natomiast zbliżył się do broni Hardego i schylił się ku niej. Matt zauważył to i z rykiem odrzucił go od niej. Błyskawicznie zapomniał o bólu, dysząc wściekle i piorunując wzrokiem kompana. Ten jednak nie chciał oddać działa bez walki i po chwili oba mutanty zaczęły bić się ze sobą. Betty wrzeszczała, ale stała obok – chyba bała się wkroczyć między dwóch taranów. Po chwili jednak złapała za broń i zaczęła z nią uciekać. Przemknęła obok okna, przy którym kucali Richard, Harold i Zack. Chwilę później walczący mutanci z rykiem pobiegli za nią. Lekarz zerwał się na równe nogi i machnął ręką na

towarzyszy. W trójkę podbiegli do drzwi. Richard wyrzwał na zewnątrz i po chwili pobiegli w stronę ulicy. Ponownie wychylił się zza węgła, obserwując drogę. Mutantów już nie było, choć jeszcze ich słyszeli.

- Co teraz? – zapytał Harold.

Richard przeżywał wewnętrzną rozterkę. Przecież nie mógł zostawić trójki młodych wędrowców gdzieś na górze, ale druga taka okazja może się już nie nadarzyć. W końcu powiedział:

- Trzeba iść po Teda i Vincenta...

- Już nie trzeba – dobiegł go głos z lewej strony. Był to Ted. Hardy szedł tuż obok niego. – Ładne przedstawienie, prawda? Na mrówczy odwłok! Hardy z wrażenia wybombał całą piersiówkę... Idziemy za nimi?

- Chodźmy – odrzekł Richard. – Młodzi są tam bezpieczni. Wrócimy po nich. Musimy się dowiedzieć dokąd biegną tamci...

Szcęk broni przerwał jego wypowiedź. Richard był pewien, że to któryś z jego kompanów, jednak gdy spojrzał na Harolda, domyślił się, że to żaden z członków wyprawy. Odwrócił się. Przed nimi stało czterech mężczyzn w czarnych strojach ze strzelbami wycelowanymi w ich stronę. Każdy miał na piersi namalowaną na biało literę "V".

- Nie ruszać się! – krzyknął najwyższy z nich, stojący pośrodku i z zaciekawieniem obserwujący członków ekspedycji. – Rzucić broń!

Tak uczynili. Trójka złoczyńców podbiegł i odebrała ich oręż.

- Ciebie też to dotyczy – dodał bandyta. – Rzuć broń, Hardy...

Rozdział VII: Sekret Hardego

Wszyscy członkowie wyprawy spojrzeli na niego z ogromnym zdziwieniem. Szybko ustępowało ono zrozumieniu. Harold, gdyby nie podniesione ręce, z pewnością skoczyłby do gardła Braverowi. Doktor Grey spuścił wzrok.

- Na początku chciałbym podziękować za przepędzenie tych zielonych dziwolągów – powiedział herszt bandytów. – Nie macie co za nimi biec. Są tępi i będą przed sobą uciekać dopóki nie padną ze zmęczenia. Witam w skromnych progach filii gangu Vipersów. Jestem kapitan Vidall i postaram się ugościć was w należyty sposób.

Po tych słowach przetładował swoją strzelbę i zbliżył się do ekspedycji. Podszedł do Hardego i spojrzał na niego. Braver stał wyprostowany z wściekłym spojrzeniem w oczach.

- Witaj, Hardy – powiedział Vidall. – Minęło trochę czasu, co? Cóż za ironia!... Bez zbędnych ceregieli zapytam: albo stajesz się synem marnotrawnym i wspaniałomyślnie ci wybaczam, albo giniesz z tą swoją hałastrą... Więc?

Hardy milczał wpatrując się w niego. Po chwili odrzekł:

- Wiesz, Vidall, że z tym skończyłem...

Herszt gangu przerwał mu ostrym śmiechem. Jego kompani dołączyli do niego.

- ale... – dokończył Hardy – jak widać nie mam wyjścia.

Rozerwał czarną koszulę i pięścią dotknął wytatuowanej na klatce piersiowej litery "V". Po chwili podszedł do reszty bandytów. Vidall uśmiechnął się tryumfalnie i zaczął przypatrywać się kolejnym członkom wyprawy. Zatrzymał się chwilę przy Tedzie, ale stanął dopiero przy Haroldzie i powiedział:

- Ciebie też znam! Na twoje karawany kilka razy zdarzyło nam się napaść. Cóż za ironia!... – powtórzył, a w Haroldzie krew zagotowała się. – Wtedy, dzięki swojej ochronie byłeś górą, a teraz...

- Też będę... Tylko jeszcze o tym nie wiesz... – wycodził przez zęby Harold.

Vidall spojrzał na niego i po raz kolejny roześmiał się swoim przeszywającym śmiechem.

- Kapitanie... – zaczął doktor Grey, nie chcąc bardziej zaognić sytuacji. – Nie chcemy żadnych kłopotów. Zależy nam tylko na mutantach...

Vidall roześmiał się ponownie, a jego kompani zawtórowali mu drugi raz.

- Na mutantach?! – zdziwił się kapitan. – Komu zależy na mutantach?!

- Jesteśmy grupą badawczą – wyjaśnił Richard. – Chcemy odkryć miejsce ich pochodzenia...

- Miejsce pochodzenia?! – odrzekł zaskoczony Vidall. – Wojna jest miejscem ich pochodzenia. Ot, co – promieniowanie i te wszystkie inne sprawy. I cała zagadka rozwiązana! He he he... A teraz, droga grupa badawczo, powiem wprost: albo staniecie się częścią naszego pradawnego rytuału, albo zostanieie unicestwieni. Ale... jeszcze jedno mnie interesuje – przerwał i zwrócił się do Bravera: - Hardy, mój stary druha, jakżeś znalazł się w tej, jak to nazywacie, grupie badawczej?

- Z rekrutacji – odrzekł krótko Hardy.

- Ach... – odrzekł Vidall, kiwając głową i uśmiechając się szyderczo. – W każdym razie, dziękuję, że uraczyłeś nas darmową kolacją. Szczury już nam zbrzydły...

Doktor Grey, Harold, Zack i Ted zbledli. Vidall dostrzegł to i kolejny raz parsknął śmiechem.

- To był żart. Jesteśmy łupieżcami, a nie kanibalami. Moja propozycja jest prosta: dołączacie do nas, albo giniecie.

- Goń się, obdartusie – odrzekł Harold, cedząc słowa przez zęby. – Wolę zginać niż napadać na niewinnych ludzi.

Vidall podszedł do niego na bliską odległość. Zdawało się, że zaraz między ich spojrzeniami zaczną błyskać iskry.

- Ciebie zostawię sobie na deser... – szepnął. Harold napluł mu w twarz. Vidall otarł się i pięścią uderzył go w brzuch. Harold zgiął się w pół i upadł.

- Reszta "grupy badawczej" jakiego jest zdania?! – krzyknął. Nikt nie odpowiedział. Vidall podszedł do swoich towarzyszy i stanął tuż przed Hardym.

- Milczenie oznacza zgodę na śmierć – powiedział cicho i dał znak reszcie gangu. Podnieśli broń. Członkowie wyprawy spuścili wzrok.

- Ale dlaczego?... – powiedział doktor Grey. – Co wam z tego przyjdzie? Dlaczego nie możecie nas puścić?

- Jedynie satysfakcja, doktoru – odparł Vidall. – Takie już mamy zasady. Albo jesteście z nami, albo nie ma cię w ogóle. Proste.

- Proste? – odparł Richard. – W świecie zniszczonym wojną? Mało wam było zabijania? Mało wam jeszcze, gdy straciliście rodziny, przyjaciół? Takie są wasze zasady?!

- Tak! Właśnie takie! – krzyknął kapitan Vidall. – A tobie nic do tego. Dalsza dyskusja jest bezzasadna.

Machnął ręką na swoich towarzyszy. Doktor Grey, słysząc szcęk przeładowywanej broni, zamknął oczy. Jednak nie usłyszał wystrzału. Podniósł wzrok i... zobaczył Hardego, przykładającego strzelbę do tyłu głowy Vidalla. Reszta gangu celowała już w niego.

- Ręce do góry – powiedział cicho Hardy.

- Nie wiesz, co robisz, głupcze... – zaczął Vidall, ale Hardy szturchnął go łufą w potylicę.

- Ręce! – krzyknął.

Vidall rzucił broń i podniósł ręce w górę. Reszta gangu, wyraźnie zdezorientowana, zupełnie nie wiedziała, co robić.

- Teraz puść ich wolno – rzekł Hardy.

Vidall pokręcił głową i odrzekł:

- Teraz... zginiesz!

Bandyta błyskawicznie odwrócił się i chwycił za broń Hardego. Zaczęli się szamotać. Vidall krzyknął:

- Zabić ich!!!

Członkowie gangu wycelowali w stronę Richarda, Teda i Zacka. Zanim wystrzelili, członkowie wyprawy padli na ziemię. Leżący Harold z krzykiem na ustach rzucił się na jednego z bandytów. Złapał go w pól i powalił na glebę zanim ten się zorientował. Rozległy się kolejne strzały, ale z przeciwnej strony. Doktor Grey podniósł głowę i zauważył w oddali trzy sylwetki. Po chwili ktoś pociągnął go za koszulę. To był Zack. Lekarz zorientował się i szybko wstał. Chwilę później leżał już z nim i Tedem za rogiem magazynu. Wyrzwał za mur. Dwaj bandyci byli martwi. Harold tłukł trzeciego po głowie kolbą jego własnej broni, siedząc na nim okrakiem. Hardy wciąż mocował się z Vidallem. Z drugiego końca uliczki nadbiegali Mark, Francine i Młody. Po chwili rozległ się strzał. Hardy i Vidall przestali się ruszać.

Richard podbiegł do Bravera i herszta bandytów, który na nim leżał. Ściągnął z Hardego zwłoki kapitana Vidalla.

- Nic ci nie jest? – zapytał lekarz.

Hardy potrząsnął głową przecząco i dźwignął się na łokciach. Harold zszedł z bandyty, którego okładał i krzyknął:

- Nie!? No to zaraz będzie!

Rzucił się na Hardego. Richard powstrzymał go.

- Hej! Hej! Już po wszystkim! – krzyczał. Mark i Zack podbiegli i również starali się powstrzymać wściekłego Harolda, który wił się jak wąż, wrzeszcząc:

- Pieprzony bandyto! Zabiję cię!!!

- Haroldzie!!! – wrzasnął doktor Grey.

- Nie!!! Tym razem nie odpuszczę! – krzyczał Harold. – Od początku czułem, że coś z nim nie tak! To dlatego nie chciałem nocować wtedy w gruzach! Wiedział, że mogą tam czaić się jego dawni kumple!...

- Haroldzie!...

- Nie! Nie masz pojęcia, ile straciłem przez takich jak on! Ile wycierpiałem! Ile nieszczęść musiałem oglądać!...

- Haroldzie! On się zmienił! – powiedział Richard. – Skończył z tym!...

- Oni nigdy się nie zmieniają! – przerwał mu Harold, który nieco opadł z sił. – Są jak ich tatuaże – na zawsze! I bandytą też jest się na zawsze!... Do końca życia!...

- Ted!... – powiedziała nagle Francine, zakrywając usta dłonią.

Wszyscy spojrzeli na Teda, który celował z rewolweru w Hardego. W oczach miał łzy, a na twarzy wymalowała mu się wściekłość. Oddychał bardzo szybko i kręcił głową.

- Zabiliście moją żonę!... I syna!... Teraz już pamiętam... Byłeś wtedy z nimi... I ten... – wskazał głową na ciało Vidalla. – Nie daruję ci tego, rozumiesz?... Nie daruję...

Pociągnął za kurek, ładując pistolet. Wtedy Richard klęknął przed jego lufą, osłaniając własnym ciałem leżącego Hardego.

- Niech pan mnie nie powstrzymuje, doktorze... – szepnął Ted.

- Słuchaj, jeżeli chcesz go zastrzelić, to musisz najpierw zabić mnie! – krzyknął lekarz.

Ted zamarł. Harold uspokoił się całkowicie.

- Ręczę za niego własną osobą!... – szepnął Richard. – Wierzę, że nie jest bandytą. Sam to udowodnił, nie widzieliście tego? Jeżeli on jest zły, to ja również!...

Ted wpatrywał się w niego w milczeniu. Po chwili opuścił broń. Doktor Grey wstał i odwrócił się w stronę Vincenta Bravera. Podał mu rękę i pomógł się podnieść. Nastąpiła cisza, którą przerwał Hardy:

- Panie doktorze – wychrypiał. – Jeżeli taka jest ich wola, niech mnie zabiją. Ta wyprawa miała być zadośćuczynieniem... Moją pokutą za wszystkie złe rzeczy, które uczyniłem... – wyjął z kabury rewolwer i wręczył Haroldowi. – Oddaję się całkowicie pod waszą wolę... – po ostatnich słowach spuścił głowę.

Richard spojrzął na Harolda, który tępo spoglądał na broń Hardego. Rozejrzał się wokoło, popatrzył na martwe ciała bandytów. Spojrzął na Bravera i oddał mu pistolet. Bez słowa odwrócił się i odszedł na kilka kroków. Francine podeszła do niego i przytuliła go. Ted rozplakał się. Doktor Grey wyszeptał:

- Chodźmy stąd... Mark, gdzie jest bramin?

- Przywiązaliśmy go zaraz przy wejściu do miasta – odrzekł Mark. – Obserwowaliśmy wasz pochód z góry – klepnął ręką lornetkę, wiszącą na jego szyi. – Oni pojawili się znikąd – wskazał ręką na bandytów – chyba z jakiegoś budynku. Czyhali na odpowiedni moment. Nie mogliśmy czekać i czym prędzej do was zesłaliśmy. Dałem swój pistolet Mortonowi. Tylko, że... zostawiliśmy wózek na górze. Nie było już czasu... Wzięliśmy jedynie trochę amunicji i torbę pana doktora.

Doktor Grey kiwnął głową. Zack podszedł do niego i powiedział:

- Może mieli tu jakąś kryjówkę. Kilku łyków wody bym nie odmówił, a po nasze zapasy chyba jednak nie będziemy wracać.

Richard spojrzął na Hardego.

- Wiem, gdzie mogliby uwić gniazdo. Idźcie za mną – odrzekł Braver.

Zgarnął swoją broń z ziemi i ruszył między ruiny budynków. Doktor Grey podniósł okulary z ziemi i poszedł tuż za nim, zostawiając pole bitwy bez jednego spojrzenia. Pozostali uczynili podobnie, choć Ted i Harold byli nieobecni myślami.

Kryjówkę łupieżców znaleźli szybko w starej wytwórni konserw. Wyglądało na to, że musieli obozować tu już dość długo, gdyż sprawiała wrażenie użytkowanej od kawałka czasu. Znaleźli sporo różnego rodzaju amunicji oraz zapuszkowaną żywność. Był też hydrant. Doktor Grey sprawdził najpierw zdatność spożycia wody licznikiem Geigera. Wszystko było w porządku. Nabrali tyle, ile zdołali unieść. Ruszyli, gdy odpoczęli po pełnym przeżyć poranku dwudziestego trzeciego dnia podróży.

Przez ten czas prawie w ogóle nie odzywali się do siebie. Każdy na swój sposób przeżywał ostatnie wydarzenia. Harold bez przerwy spacerował, Ted płakał, wpatrując się w zniszczone zdjęcia swoich bliskich, Hardy siedział samotnie w kącie. Doktor Grey starał się zaopiekować młodym Mortonem, który pierwszy raz w życiu miał w ręku broń i jeszcze się trząsał. Mark i Francine jakoś dawali radę, ale byli wyciszeni.

Opuścili miasto północną stroną, starając się iść śladami trójki znajomych mutantów. Z początku nie było to trudne, lecz po jakimś czasie trop zaczął się

zacierać. Stanowiły go jedynie nieliczne ślady krwi zranionego mutantu Matta, gdyż wiatr zdołał przysypać piaskiem znaki ich pochodzenia. Po dwóch godzinach marszu odnaleźli broń Hardego i pozostałości bytności mutantów, które wskazywały, że udały się na wschód. Nie było to zachęcające, ale nie mieli wyjścia i musieli zmienić kierunek marszu. Hardy długo kontemplował nad swoim działem i w końcu postanowił zabrać je ze sobą, mimo że nie miał już do niego amunicji – została w wózku, który porzucili. Sporo naboju pozostało jednak w magazynku – najwyraźniej mutanci wystraszyli się broni i postanowili ją porzucić, nie pociągając więcej za cyngiel.

Popołudniem ślady krwi nasiliły się, a do nosów członków wyprawy doszedł w pewnym momencie dziwny, duszący zapach. Po kilku minutach spostrzegli jego źródło – był to mutant Matt, leżący martwy w wyschłej kałuży swojej krwi.

- Na mrówczy odwłok... – powiedział pod nosem Ted.

Widok był naprawdę osobliwy. Oto stali nad ponad trzymetrowym, leżącym na brzuchu gigantem. Głowę miał przekręconą w prawo. Twarz była oblepiona piaskiem zmieszonym z krwią. Mutant wyglądał jakby dostał jeszcze przed śmiercią kilka potężnych razów w głowę.

Doktor Grey z największym zainteresowaniem i ostrożnością oglądał mutantą, notując w swoim dzienniku wszelkie godne uwagi szczegóły. Dotykał go w różnych miejscach, wyjmował ze swojej torby różne przyrządy i butelki z roztworami, którymi skrapiał ciało Matta. Pozostali byli nie mniej ciekawi niż on.

- Ile on może ważyć? – zapytał Harold, oglądając zranione ramię stwora.

- Myślę, że nie mniej niż trzysta kilogramów – odrzekł Richard.

- Ale z bliska wydaje się być mniej zielony, prawda? – zapytała Francine.

- Zgadza się, skóra jest raczej szara, albo stalowa – kiwnął głową lekarz. – Zielony jest jakby odcieniem. Choć nie jestem pewien, czy to nie na skutek śmierci...

Przerwał, gdyż z jego torby, którą przysunął bardzo blisko mutantą, zaczął wydobywać się dziwny dźwięk.

- To licznik Geigera – powiedział Richard, wyjmując urządzenie. – Nie wyłączyłem go. To znaczy, że Matt jest napromieniowany. I to przynajmniej na cztery, albo pięć radów.

- Czy to dużo? – zapytał Ted.

- Stosunkowo niewiele, jak na tak potężne stworzenie – odrzekł lekarz i sięgnął ponownie do torby. Wyjął prostokątne, bordowe etui i rozpiął je. Wydobył skalpel.

- Tylko mi nie mów, że będziesz go kroił!... – powiedział Harold ze zniesmaczoną miną. Richard spojrzał na niego i uśmiechnął się. Spróbował wbić specjalistyczny nóż w okolice nerek, ale twarda jak kamień skóra stawiała bardzo duży opór. Członkowie wyprawy stali zbici w grupie w milczeniu obserwując poczynania swojego lidera. Po kilku próbach doktor Grey zaprzestał i obszedł mutantą dwa razy. Spojrzał na resztę ekipy i rzekł:

- Musimy go odwrócić.

- Ja się na to nie piszę... – odrzekł Harold, podnosząc ręce. – Nie namówisz mnie, nie tym razem.

Hardy podszedł do lekarza i powiedział:

- Czy nie zostaniemy napromieniowani przez kontakt z nim?

- Raczej wątpię, a jeżeli nawet to w nieszkodliwym stopniu – odrzekł doktor Grey.

Ted, Zack i Mark podeszli do mutantą. Richard wepchnął lewą ręką Matta pod jego ciało najgłębiej jak mógł i powiedział do Hardego:

- Vincencie, czy możemy użyć twojej broni?

Hardy podał działko lekarzowi, który obszedł zwłoki i kolbę broni umiejscowił pod ciałem na wysokości brzucha.

- To będzie na zasadzie dźwigni. Na mój znak pchamy do przodu.

Członkowie wyprawy podeszli do lekarza i ustawili się w szeregu przed ciałem mutanta.

- Uwaga: trzy, dwa, jeden, teraz!...

Doktor Grey pociągnął broń do góry, a reszta pchnęła mutantą. Dzięki podłożonej ręce z drugiej strony, zręcznie obrócił się on na plecy. Kosztowało to ich jednak niemało wysiłku.

- Uff, ponad czterysta kilo... Z pewnością – wysapał doktor Grey i przyjrzał się mutantowi.

Z frontu Matt prezentował się jeszcze okazalej. Potężny tors, przypominający przód czołgu, cały ubabrany był w piasku. Podobnie jak zmasakrowana twarz, która podczas okręcania mutantą odwróciła się w stronę stojących opodal Harolda, Francine, zasłaniającą twarz dłonią, i bladego jak ściana Mortona, który na ten widok nie wytrzymał, odbiegł na kawałek i zwymiotował.

Doktor Grey zajął się badaniem głowy Matta. Po kilku chwilach jednak pokręcił ze zrezygnowaniem głową i zbliżył się do nagiej klatki piersiowej stwora. Próbował wbijać skalpel w ciało, ale i tutaj skóra była skrajnie odporna na ostrze skalpela. W końcu z impetem wbił nóż w bok mutantą. Zrobił to z taką mocą, że Francine aż krzyknęła, a Młodemu zrobiło się niedobrze po raz wtóry. Pozostali też mieli nietęgą minę i odsunęli się od lekarza na pewną odległość. Richard natomiast pochłonięty był rozcinaniem twardej skóry Matta. Wykonał nacięcie na około dwa cale szerokości i rozwarł je palcami. Przez chwilę mocował się z ciałem mutantą, ale w końcu dał za wygraną. Pot łał mu się z czoła.

- Nie dam rady z tej strony – powiedział, ocierając twarz rękawem. – Jedyne miejsce, które może być na tyle delikatne, aby dostać się do niego to genitalia, ale...

- Nie, nie, nie! – przerwał mu Harold. – Oszczędź nam tego, dobrze? Niech sobie... spoczywa w spokoju!

- Ale, Haroldzie, mogę nie mieć już takiej okazji zbadania tak zmutowanego człowieka... – zaczął lekarz, ale takim tonem, jakby sam nie był do końca przekonany, co do swojej racji.

- Trudno! Trudno!... – Harold był zniecierpliwiony i zdeterminowany. – Idziemy stąd, już dosyć się naoglądaliśmy! Kto jest "za"?

Mark i Francine ponieśli ręce.

- Masz mój głos – odrzekł Ted.

- I moje dwa... – dodał słabym głosem młody Morton.

- Widzisz, jesteś przegłosowany! – powiedział wyraźnie uradowany Harold. – Spadamy stąd...

Richard kiwnął głową i po raz ostatni przypatrzył się wielkiemu, martwemu ciału mutantą Matta. Po chwili wspólnie uzgodnili kierunek podróży i ruszyli dalej. Doktor Grey miał teraz dość materiału do analizy i głowę pełną pytań.

Rozdział VIII: Starzy znajomi

Szli dalej na północny wschód. Obóz rozbili nieopodal koryta wyschłej rzeki u stóp pojedynczego pagórka. Ruszyli o świcie następnego dnia. Krajobraz powoli się zmieniał. Z górzystego przechodził na równiny, choć pojedyncze wzgórza jeszcze

gdzieniegdzie się trafiały. Step sprzyjał wędrowce, ale nastroje niespecjalnie, toteż tempo nie było zawrotne.

Każdy miał powody do dumania i pogrążony był we własnych myślach. Harold i Ted nie odezwali się ani słowem do Hardego od incydentu w ruinach miasta. Harold teraz w ogóle niewiele mówił. Z reguły odpowiadał na pytania, samemu nie wszczynając rozmowy. Było to zupełnie nie w stylu młodego karawaniarza, może dlatego, bez jego nieustannej gadaniny, czas znacznie się dłużył. Często za to szeptał coś do swojego bramina, Virgila.

Doktor Grey natomiast, zwykle wyciszony, teraz pochłonięty był analizą krótkiego badania martwego mutanta i zatopiony we własnych myślach czasem nie słyszał nawet pytań rzuconych przez przyjaciół w jego kierunku. Niemal bez przerwy coś notował, obliczał, rysował. Swoimi wnioskami podzielił się w końcu wieczorem, dwa dni po napotkaniu na ciało mutanta Matta. Wywiązała się wtedy rozmowa właśnie o nim.

- Ciekawe, co mogło stać się przyczyną jego mutacji? – zastanawiał się Harold. – Jeśli z normalnego człowieka stał się takim wielkim stworem. I do tego głupim jak but...

- Nie takim znowu głupim – powiedział Richard, odrywając wzrok od notatek. – W końcu kobieta mutant, Betty, wpadła na pomysł zabrania broni, prawda? Moim zdaniem instynkt samozachowawczy pozostał, ale resztki, nazwijmy to, "ludzkiego" myślenia od czasu do czasu dają o sobie znać.

- Co pan tak ciągle oblicza, panie doktorze? – zapytał młody Morton Carrie po chwili.

- Staram się obliczyć jak bardzo mutacja zmieniła człowieka w takie monstrum – odparł Richard. – Procentowo. I jeżeli się nie mylę, to wychodzi na to, że mięśnie stanowią ponad trzy czwarte jego struktury.

- Wcale się nie dziwię – odrzekł Harold. – Byle słabeusz nie rzuci kamieniem wielkości połowy bramina...

- Czynniki mutagenny musiał zmienić strukturę komórkową – ciągnął dalej lekarz. – Nie wiem, czy to zauważyliście, ale on bardzo szybko zaczął się rozkładać. Z zewnątrz co prawda skóra była bardzo twarda, co sugerowałoby wysychanie ciała, ale taki proces trwa naprawdę bardzo długo. W środku zaś jego organy były już w zaawansowanej fazie rozkładu. Zapach – dodał, wyjaśniając pytające spojrzenia reszty wyprawy.

- Hmm, to w takim razie po co rozwalili mu łeb? – zapytał Hardy.

- Myślę, że to właśnie resztki myślenia ludzi – odrzekł doktor Grey. – Choć okrutna – pozostali prawdopodobnie nie chcieli, żeby dłużej się męczył, albo nie chcieli, żeby ich dłużej męczył. Domyślili się, że nie przeżyje i przyspieszyli jego śmierć.

- A dokąd się udali? – traper Zack spojrzął na lekarza.

- Do domu, jak krzyczał Matt – odpowiedział Richard. – Jeżeli napotkamy ich ślad, doprowadzą nas do miejsca, gdzie się zrodzili... nie, raczej powinienem powiedzieć: gdzie powstał.

- Dobrze, tylko, co wtedy? Hmm?... – zapytał retorycznie Harold.

Ruszyli następnego dnia z samego rana. Na początku mieli mały problem z obraniem kierunku podróży. W końcu zdecydowali się iść swobodnie, tak jak zrobiliby to mutanci – możliwie najprościej i najwygodniej. Na ten pomysł wpadł oczywiście doktor Grey. Tak zatem zrobili – wybierali ścieżki niewkraczające zbyt we wzgórze, ani niewybiegające na gorący step. Przyniosło to rezultat już po dwóch godzinach

marszu – napotkali znajomo rozoraną wielkimi stopami ziemię i trzymali się tego śladu przez cały dzień, idąc w szybkim tempie. Kierunek pochodu zmienił się z północnego na północno zachodni.

Dwudziesty szósty dzień ekspedycji rozpoczął się bardzo wcześnie. Pogoda nieco się zmieniła – słońce nie grzało już tak bardzo jak dotąd, niebo przysłoniły chmury i zaczął wiać lekki, orzeźwiający wiatr z zachodu. Wyprawa narzuciła sobie ostre tempo, które opłaciło się na godzinę po południowym postoju. Schodzili wtedy z bardzo rozległego wzgórza, łagodnym stokiem po jego zachodniej stronie, gdy nagle traper Zack, idący jak zwykle na czele, zatrzymał pochód i przywołał do siebie doktora Greya. Para znajomych mutantów, byłych towarzyszków nieżyjącego Matta, spacerem podążała tą samą ścieżką, co ekspedycja, kilkaset metrów przed nią.

- Świetnie – powiedział Richard, spoglądając na mutantów przez lornetkę. – Teraz nie możemy stracić ich z oczu.

- Chyba nie przejęli się śmiercią swojego kompana – dodał Harold, mrużąc oczy, by lepiej dostrzec mutanty, które szły jeden za drugim.

- Możliwe, że o nim zapomnieli – odrzekł doktor Grey. – Wydaje się, że to, przez co zmutowali, ma bardzo duży wpływ na mózg człowieka...

- A jeśli zapomnieli, gdzie mają iść? – zapytał Mark. – I wywiodą nas gdzieś na pustkowie?

- Jeśli nawet ich mentalność jest teraz na poziomie zwierząt, to wciąż pozostał instynkt – odparł lekarz. – A on nie pozwoli im zginąć. Chodźmy.

Ruszyli dalej, ostrożnie, by nie zwrócić na siebie uwagi mutantów. Choć po kilkunastu minutach marszu zorientowali się, że tylko potężnym hałasem mogliby tego dokonać. Betty i jej towarzysz nie mieli bowiem w zwyczaju oglądania się za siebie. Ich wzrok skierowany był cały czas przed siebie, czasem jedynie wymieniali między sobą kilka zdań. A raczej prawdopodobnie dwuwyrzowych równoważników zdań, bo nic nie wskazywało na to, żeby zwiększyli swoją inteligencję po zaledwie trzech dniach. Szli tak praktycznie cały dzień, schodząc ze wzgórza. Pod wieczór, gdy słońce było już za horyzontem, a pagórek zamienił się w step, upstrzony gdzieś tam pojedynczymi wyschłymi drzewami, zaczęło się jednak coś psuć w ich relacjach. Członkowie wyprawy z daleka spoglądali jak coraz ostrzej ze sobą rozmawiają. Betty wskazywała ręką w kierunku północnym, zaś jej towarzysz na zachód. Po chwili doszło do rękoczynów. Mutanci wymienili kilka razy, krzycząc coś do siebie. W końcu uspokoiili się, przeszli jeszcze kawałek i tak jak stali, tak też położyli się na ziemi i prawdopodobnie usnęli. Ekspedycja również postanowiła rozbić obóz w miejscu skąd mieli dobry widok na oba stworzenia.

Następny dzień rozpoczął się od kolejnej kłótni mutantów. Tym razem trwała ona znacznie dłużej, choć do wymiany ciosów nie doszło. Po prawie pół godzinie towarzysz Betty najwyraźniej machnął na nią ręką i zaczął po prostu iść przed siebie. Ona zaś, po chwili namysłu udała się za nim, jednak bez przerwy coś krzyczała i pokazywała ręką na północ. On jednak szedł uporczywie na zachód. I szedł bardzo szybko. Członkowie ekspedycji musieli niemal truchtać, by dotrzymać im kroku – oczywiście kilkaset metrów za nimi. Najgorzej znosił to bramin Harolda, który wyraźnie męczył się w okropnym upale, który powrócił rozgrzewając głowy wędrowcom. Doktor Grey jednak kategorycznie zdecydował, że zdają się całkowicie na to, co postanowią mutanci i prowadził pochód wraz z traperem Zackiem. Szli zaś po popękany, gorącym stepie. Zdawało się, że niedługo wchłonie on wędrowników w swą nieprzebraną otchłań. Ukrop był nie do wytrzymania. Tego dnia zużyli najwięcej wody w ciągu jednego dnia od momentu opuszczenia The Hub.

Mutanci jednak, a w zasadzie towarzysze Betty, byli uparci i brnęli dalej. Zatrzymali się, gdy mrok był na tyle gęsty, że nawet ekspedycji trudno już było ich dojrzeć. Doktor Grey odetchnął z ulgą, gdy oba mutanty padły na ziemię i pograżyły się we śnie. Reszta ekipy uczyniła podobnie.

Kolejny dzień przywitał ich chłodnym, orzeźwiającym wiatrem od zachodu i następną kłótnią mutantów. Tym razem towarzysz Betty musiał już zrobić jej dużą krzywdę, gdyż ta przez długi okres czasu nie podnosiła się po jego uderzeniu. W końcu jednak wstała i z opuszczoną głową udała się za swym kompanem. Trzymała się cały czas za brzuch. Richard czuł jednak, że jej wędrówka nie będzie trwała długo. Nie mylił się.

Około południa tego parnego dnia członkowie ekspedycji zauważyli mającące w oddali niewielkie, zarośnięte drzewami wzgórze. Po około godzinie dotarli pod nie śladami mutantów. Dosłownie śladami, gdyż zauważyli na ziemi plamy krwi. Z Betty najwidoczniej było coraz gorzej. Weszli na wzgórze. Byli na szczycie, kiedy to się stało. Zobaczyli stąd jak towarzysz Betty stoi nad nią leżącą i ogromnym głazem w rękach bije ją po klatce piersiowej. Członkowie wyprawy zamarli. Betty próbowała się jeszcze bronić, ale po kilku chwilach odpuściła. Przeszła się ruszać. Jej towarzysz odrzucił kamień na bok i przez moment patrzył się na nią. Zaraz potem ruszył na zachód, znikając między drzewami i kolejnym rosnącym wzgórzem.

Traper Icereef już zaczął schodzić po łagodnym stoku, gdy Richard powiedział:

- Zack, poczekaj.

Zatrzymał się bez słowa i spojrzał na lekarza.

- Oczekajmy chwilę, aż ten drugi odejdzie – rzekł doktor Grey. – Chcę dokładniej przyjrzeć się martwej Betty.

- No nie, jeszcze ci mało po tym pierwszym? – zapytał Harold z niesmakiem wypisanym na twarzy.

- Nie musicie tego oglądać – odparł Richard. – Tak będzie nawet lepiej – bardziej się skupię, gdy będę sam. A chcę to zrobić, bo jej twarz i głowa jest na pewno mniej uszkodzona niż Matta.

- A czy będziemy wiedzieć jak iść dalej? – zapytał Ted.

- Myślę, że będziemy musieli się cofnąć – odrzekł lekarz. – Betty ciągle pokazywała na północ, a ja jakoś jej bardziej wierzę. Tamten jej nie słuchał, my posłuchamy.

Po tych słowach odczekali kilkanaście minut, obserwując z dala teren. Betty leżała samotnie, na wznak, rozpostarta u stóp obu wzgórz. W końcu doktor Grey postanowił, że udadzą się do niej. Zeszli łagodnym stoki i po chwili byli już przy niej.

- Miejcie oczy otwarte – powiedział i podszedł do martwego mutantu. Pozostali oddalili się i nieco rozproszyli. Harold i Ted zajęli się chudnącym w oczach braminem karawaniarza. Mark, Francine i Morton odwrócili się plecami do doktora, byle tylko nie spoglądać na to, co robi. Hardy i Zack zdawali się pełnić wartę – Braver w miejscu przejścia ostatniego z trójki znajomych mutantów, Icereef zaś ze wzgórza, z którego schodzili.

Doktor Grey poprawił okulary na nosie. Miał teraz okazję naprawdę blisko przyjrzeć się martwemu mutantowi. Wykonał te same badania, co Mattowi, ale dłużej i dokładniej. W końcu postanowił rozciąć martwą Betty. Tym razem udało mu się. Członkowie wyprawy jak jeden mąż odwrócili głowy. Richard natomiast pochłonięty był egzaminowaniem wnętrza zmutowanej Betty.

Trwało to dobre trzydzieści minut, gdy nagle bramin Harolda poruszył się niespokojnie.

- Co jest, Virgil?... – zapytał Harold, który chyba zdrzemnął się, oparty o zwierzę.

Virgil wstał na równe nogi i zaczął wyć. Wszyscy patrzyli jak Harold próbuje uspokoić bramina, ale widocznie sobie nie radzi. Ted i Zack doskoczyli do niego, Richard przerwał swoje czynności. Nagle bramin wyrwał się z uchwytu trzech mężczyzn i ruszył w stronę Hardego.

- Virgil, stój! – krzyknął Harold, ruszając za nim.

Hardy spojrzał się na bramina i gdy ten był blisko chciał pchnąć go tak, by się przewrócił. Zwierzę było jednak znacznie silniejsze i odtrąciło Bravera. Nagle Virgil uspokoił się i zapatrzył przed siebie. Harold podbiegł do niego.

- Hej, staruszkule, co jest? – szeptał Harold, gładząc go po obu głowach. – Czego się tak przestraszyłeś? Powiedz staremu kumplowi, co cię tak....

Okropny wrzask nie dał mu dokończyć. Zza drzew wyłonił się jedyny ocalały z trójki mutantów i z wściekłością ruszył na stojących obok siebie Harolda, Hardego i Virgila. Bramin również zawył i pognał w kierunku mutantą. Harold zamarł w bezruchu. Hardy przeładował ogromne działo i wycelował w mutantą.

- Nie w Virgila! – krzyknął Harold.

Hardy czekał, patrząc na mutantą. Ten złapał bramina, uniósł go nad głowę i rzucił o pobliskie drzewo.

- Nie!!! – wrzasnął Harold i krzyknął do Hardego: - Strzelaj!

Hardy pociągnął za spust. Seria z karabinu poniosła się echem po lesie. Nie trafił. Mutant z rykiem ruszył na niego. Hardy pchnął Harolda i obaj padli na ziemię. Mutant minął ich i również się przewrócił, potykając o konar. Wstał i akurat spojrzał w kierunku Richarda, który zszokowany i zakrwawiony stał nad ciałem Betty. Mutant wydał z siebie okropny ryk i pognał w jego stronę.

- Doktorze!... – krzyknął Ted, który stał najbliżej.

Richard podbiegł do niego. Mutant ponownie się przewrócił. Ted stanął przed Richardem i wyjął broń.

- Niech pan ucieka! – krzyknął.

Wycelował w kierunku mutantą i strzelił kilka razy. Stwora tylko rozsierdziły strzały O'Connora. Podbiegł do niego i trzepnął nim tak potężnie, aż Ted odleciał na kilka metrów w górę i uderzył w drzewo. Padł nieprzytomny. Richard spojrzał na mutantą, ten na niego. Potwór wrzasnął i ruszył w kierunku lekarza. Huk wystrzału ponownie rozdarł powietrze. Tym razem to Zack wypalił do mutantą ze swojego karabinu myśliwskiego. To już zrobiło wrażenie na zielonym stworze. Zachwiał się i spojrzał na klatkę piersiową, z której sączyła się krew. Dotknął rany i z przerażeniem popatrzył na zakrwawioną dłoń. Zack przeładował i wystrzelił ponownie. Mutant dostał w brzuch. Rozległ się szcęk przeładowywanej broni z lewej strony. Hardy stał ze strasznie wykrzywioną miną i wielką bronią gotową do użycia. Mutant spojrzał na niego i obrócił się. Nie zdążył jednak dać nawet kroku, gdy Hardy pociągnął za spust. Seria z działa dosłownie rozpruła mutantą, pozbawiając go połowy torsu. W końcu zrobiło się cicho.

Widok był przerażający, a zapach trudny do zniesienia. Po stoku płynęła rzeka krwi z ciała zabitego towarzysza leżącej nieopodal Betty. Harold klęczał przy swoim braminiu. Hardy wpatrzony był w swoją broń. Zack podszedł do płaczących jak dzieci Marka i Francine i półprzytomnego Młodego.

Doktor Grey otrząsnął się z szoku i podbiegł do Teda. Żył, był bardzo blady.

- Ted, słyszysz mnie? – zapytał lekarz.

- Tak... – szepnął O'Connor słabym głosem.

- Nie martw się. Jakoś z tego wyjdiesz...

Ted przerwał mu.

- Nie muszę... Dług splotony...

Richard przez chwilę nie wiedział, o czym mówi i patrzył się na niego bez słowa. W końcu zrozumiał.

- Nie mów tak – powiedział cicho. – Wykaraskasz się. Nie mogę stracić najodważniejszego z moich strażników...

- Niech pan... powie Braverowi... – jego głos słabnął – nie mam żalu... Po tym, co zrobił dzisiaj... i parę dni temu... nie mogę mieć...

Richardowi wzruszenie odebrało głos. Skinął jedynie głową.

- Maggie, już wracam...

Doktor Grey zamknął mu oczy i otarł łzy z swojej twarzy.

Rozdział IX: Na pustyni

Morale wśród uczestników ekspedycji doktora Greya było niskie. Jeszcze przed wyruszeniem zarówno on, jak i Harold ostrzegali i byli świadomi, że nie wszyscy mogą powrócić z niej żywi. Jednak tak naprawdę nie chcieli dopuszczać do siebie tej myśli. Nikt nie chciał. Teraz jednak wszystko się odmieniło. Starli się z brutalną rzeczywistością, twardym, bezwzględny pustkowiec. I mutantami.

Na feralnym wzgórzu spędzili jeszcze kilka godzin. Pochowali Teda O'Connora i bramina Harolda, Virgila, który również nie przeżył. Groby kopali gołymi rękoma i kolbami swych broni.

Harold prawie załamał się po śmierci swego przyjaciela. Richard odkąd poznał Harolda widział go zawsze razem z Virgilem. Byli zżyci i naprawdę się rozumieli. Może to dziwne mówić w ten sposób o zwykłym zwierzęciu, jednakże młody karawaniarz bardzo przeżył odejście swojego bramina.

Ruszyli dalej późnym popołudniem, obierając po naradzie kierunek północno-wschodni. Okrążali pechowe wzgórze od północy. Nie było trudne do obejścia, lecz trudne do zniesienia po ostatnich wydarzeniach. Członkowie wyprawy nie odzywali się prawie w ogóle – tylko w razie potrzeby. Obóz rozbili u stóp wzniesienia przy jego bardziej stromym stoku.

Kolejny dzień powitał ich okropnym gorącem, buchającym na nich od wschodu. Wkraczali na szczerą pustynię, lity i bezlitosny step. Wiedzieli, że będzie to najtrudniejszy etap ich podróży. Byli zmęczeni i przygnębieni, zapasy wody kurczyły się w szybkim tempie, jakby pustkowiec podstępnie i niezauważalnie opróżniało im manierki, a na dodatek nie wiedzieli, jak długo będą się musieli z nim zmagać. Nie napawało to optymizmem, ale, chcąc nie chcąc, szli dalej.

Tego dnia doktor Grey przyjrzał się swoim notatkom. Miał znacznie więcej materiału do analizy po zbadaniu zwłok mutantki Betty. Jednak to, czego został świadkiem podczas studiowania jej ciała, czasem było tak nielogiczne, że miał spore kłopoty z pojęciem na jakiej zasadzie funkcjonują te istoty. I przede wszystkim – co je w takim stopniu zmieniało? Chciał podzielić się swymi uwagami z pozostałymi, ale zauważył, że audytorium byłoby w tym momencie mało uważne i na razie skupił się na wyciągnięciu wniosków dla siebie.

Wędrówka postępowała. Czas dłużył się niemiłosiernie w wycieńczającym upale. Lekki wiatr nie dawał orzeźwienia, ale na szczęście nie potęgował ukropu. Góry

wciąż jeszcze majaczyły w oddali i zdawało się, że pustkowie czuje przed nimi respekt, nie pozwalając sobie na wykończenie maszerujących po nim ludzi. Był to zdecydowanie najdłuższy dzień podczas ich wyprawy.

Nadszedł trzydziesty dzień podróży. Doktor Grey wiedział o tym dokładnie i powoli tracił nadzieję, że po tak długim okresie wędrówki uda im się natrafić na coś więcej niż tylko kilka mutantów gdzieś na pustyni. Owszem, materiał zgromadzony podczas jego badań był ciekawy, ale tak naprawdę niewiele dawał. Jedyne kilka informacji na temat ich anatomii, która okazywała się niezwykle podobna do ludzkiej. Natomiast nic o pochodzeniu.

Rankiem tuż przed wyruszeniem w dalszą podróż podzielił się tą refleksją z pozostałymi. Po chwili milczenia Harold powiedział:

- Nie możemy teraz zrezygnować. Nie po tym wszystkim. To byłoby nie w porządku wobec Teda i Virgila.

- Haroldzie, ja naprawdę... *nie wiem*, co mamy robić... – odrzekł Richard i spojrzał na niego ze zrezygowaniem. – Gdzie iść? I czego tak naprawdę szukać?...

Harold patrzył na niego, nic nie mówiąc. Po chwili zwrócił się do pozostałych:

- Kto chce teraz przerwać i zawrócić?

Nikt się nie odezwał.

- A kto chce iść dalej i szukać aż do skutku?

Wszyscy podnieśli ręce. Harold spojrzał na Richarda:

- Nie pozwólmy, żeby ich śmierć była daremna.

Doktor Grey kiwnął głową i uściśnął przyjaciela.

- Dziękuję – szepnął mu do ucha.

Po chwili ruszyli dalej.

Ta rozmowa, krótka, ale jakże znacząca, tchnęła nowego ducha w uczestników ekspedycji. Zdawało się, że nawet pogoda uśmiechnęła się do nich i odegnęła na trochę upał, przykrywając niebo chmurami i popychając do pracy lekki wiatr. Step nie był już tylko płaską drogą donikąd – pojawiały się wyschłe drzewa, ogromne kamienie, martwe krzewy. Może i niewiele, ale zawsze jakieś urozmaicenie. W oddali zauważyli także pojedynczy, strzelisty szczyt. Zdecydowali, że to będzie ich punkt docelowy.

Na powrót zaczęli rozmawiać i pytać doktora Greya o rezultaty jego badań. Teraz miał on już pole do popisu. Opowiedział im o swoich wnioskach, nie ukrywając szczegółów, czym wprowadził w zniesmaczenie pozostałych członków wyprawy. Zwłaszcza Harolda, który, gdy dowiedział się, że jego przyjaciel sprawdził nawet, czy mutant-kobieta Betty była naprawdę płci żeńskiej, nie mógł powstrzymać się od komentarza:

- Richardzie! Jezu... – brakło mu słowa. – Nie wierzę! Po prostu nie wierzę!

- W co nie możesz uwierzyć? – zapytał lekarz z uśmiechem. – Chciałem sprawdzić wszystkie możliwe aspekty i wydobyć jak najwięcej...

- Ale jakim kosztem? – przerwał mu Harold. – To już podchodzi pod nekrofilie!...

Wszyscy roześmiali się. Richard spojrzał na niego karcąco i odrzekł:

- Mogę ci powiedzieć jedynie tyle, że jeśli uda nam się znaleźć źródło ich pochodzenia i je zniszczyć, to najprawdopodobniej przeżyjemy tę rasę.

- To znaczy... – zaczęła Francine – że są...

- Bezpłodni – dokończył doktor Grey, – dokładnie tak. W zasadzie tylko po sposobie ich zachowania można rozróżnić jakiej płci byli przed poddaniem na czynnik mutageny.

- No... to jedno pocieszenie... – powiedział Harold. – Przynajmniej ich rozmnażanie mamy z głowy. Czas zająć się resztą mięśni...

- Naturalne rozmnażanie – dopowiedział Richard. – Wciąż pozostaje to, co ich zmienia.

- Czego jeszcze dowiedział się pan, doktorze? – zapytał Mark.

- Cóż, zbadałem ich anatomię – odparł lekarz. – Jest bardzo podobna do ludzkiej, choć znacznie większy procent stanowi tkanka mięśniowa. Betty była bardziej napromieniowana niż Matt, co może świadczyć o tym, że teren, po którym i my stąpaliśmy, był radioaktywny.

- A nam to nie zaszkodzi? – spytał młody Morton.

- No cóż... – odrzekł Richard i uniósł brwi. – Ryzyko zawodowe. W każdym razie posiadam odpowiednie medykamenty na wypadek silnej choroby popromiennej. Nikt jak na razie nie wykazuje jej objawów.

- Oj, Młodego nie byłbym taki pewny – powiedział Harold, wpatrując się w Mortona. – Czasem ze strachu robi się zielony, jak tamta trójka...

Pośród członków wyprawy ponownie wybuchł śmiech.

- Haroldzie... – powiedział Richard i pokręcił lekko głową. – Jest jeszcze jedna rzecz.

- Co takiego? – zapytał Harold.

- Jest to chyba to coś, co mutuje – odrzekł doktor Grey, ściągając okulary i pocierając nos. – Krew natleniona jest znacznie bardziej brunatna niż ludzka.

- To ta, która płynie w tętnicach? – spytał Hardy.

- Tak. Natomiast ta, która płynie żyłami jest wręcz czarna – odpowiedział lekarz.

- O czym to świadczy? – zapytał Zack.

- Sądzę, że czynnik mutagenny jest obecny w ich organizmie w ogromnej ilości i może być cały czas jest aktywny. To może oznaczać, że jest bardzo silny i może mieć wpływ na człowieka nawet bez bezpośredniego kontaktu z nim. To znaczy – wyjaśnił, widząc miny pozostałych, wyrażające niezrozumienie – że wystarczy przebywać, na przykład, w jednym pomieszczeniu, gdzie będzie duże stężenie tego czynnika, i może to również może doprowadzić do wystąpienia mutacji.

Przez chwilę słychać było tylko odgłos marszu.

- A to oznacza, że musimy być bardzo ostrożni – dokończył.

Po tym jakże przełomowym dniu, gdy sprzyjały im i nastroje, i teren, i aura, nadszedł kolejny, dużo mniej optymistyczny. Słońce znowu wyciskało z nich siódme poty, szli po szczerym, wznoszącym się stepie, a góra w na horyzoncie zdawała się bardziej oddalać niż zbliżać. Mało tego, około południa Morton Carrie zakomunikował, że zapas jego wody wyczerpał się. Wspomógł go traper Zack, który przyzwyczajony był do podobnych wędrówek, choć i on przyznał się doktorowi Greyowi, że tak wyczerpującej podróży jeszcze nie doświadczył.

Późnym popołudniem, gdy słońce przesłoniły delikatne obłoki, dające choć złudzenie chłodu, a wzgórze w ich oczach zdawało się większe niż kiedykolwiek wcześniej, zerwał się bardzo silny wiatr. Ekspedycja musiała się zatrzymać. Wzbita chmura pyłu uniemożliwiła im dalszy marsz, wpychając drażniący piasek w oczy, nosy i usta. Musieli to przeczekać, przykrywając głowy wierzchnimi okryciami, zbici w jedną grupę głowami do siebie. Na ich szczęście burza nie była tak silna, żeby porwać człowieka, jednak podczas swego godzinnego trwania prawie całkowicie wyczerpała ich fizycznie. Nie ruszyli się z miejsca już do rana.

Następnego ranka członkowie ekspedycji spostrzegli, że góra, do której dążyli od dwóch dni, jest znacznie bliżej niż wczoraj. Zaiste, dziwne dzieją się na pustyni!

Richard podejrzewał, że to rozgrzane powietrze zmyliło ich wzrok, choć wydawało się to wbrew logice działania fatamorgany. W każdym razie Zack oszacował, że powinni dotrzeć do wzgórza najpóźniej popołudniu.

Po kilku godzinach marszu pustynny step zamienił się w kamienisty. Dotarli do góry nawet wcześniej niż przewidywał Icereef. Sprawiała co najmniej dziwne wrażenie, jakby powyżej pewnej wysokości nie była... *do końca naturalną*. Skąła w dziwny sposób odbijała promienie słoneczne, przypominała sztuczną, a nie wytworzoną przez naturę. Bardzo stromo wybijała się z podłoża i pięła intensywnie w górę. Było to co najmniej osobliwe zjawisko.

Zaczęli obchodzić górę od południa w kierunku zachodnim. Po kilkunastu minutach marszu nagle Morton Carrie zatrzymał cały pochód.

- Co się stało? – spytał Richard.

- Spójrzcie tam – powiedział cicho Młody, wskazując ręką na ziemię.

Członkowie ekspedycji wyteżyli wzrok, ale jedynie Zack dostrzegł to, co widział Morton.

- Zabezpieczenia... – powiedział traper.

- Masz na myśli... miny? – Harold spojrzął na Mortona, który tylko pokiwał głową.

- No, to masz szansę się wykazać. W końcu upierałeś się, że jesteś saperem.

- Bo jestem!... – zaperzył się Młody. – Zaraz to udowodnię.

Podciągnął spodnie i już ruszał w kierunku pułapek, gdy doktor Grey chwycił go za ramię.

- Poczekaj – powiedział – nie możemy ryzykować. Obejdziemy jakoś inaczej te zabezpieczenia...

- Dam sobie radę... – odrzekł Morton, ale lekarz przerwał mu:

- Nie. Nie będę ryzykował życia kolejnego członka ekspedycji i to w dodatku tego, który wcale się do niej nie rwał...

- Pan nie rozumie – odparł Młody, kręcąc głową. – Tutaj jest ich znacznie więcej, to pewne. Można je po prostu wysadzić.

Członkowie wyprawy spojrzeli na niego pytająco.

- Jeden wybuch spowoduje drugi i tak do skutku – wyjaśnił Morton.

- Słuchaj, Richard, może chłopak ma rację – powiedział Harold. – W końcu jako jedyny z nas dojrzał te bomby i to z całkiem daleka.

Doktor Grey zawahał się, ale po chwili odrzekł:

- Dobrze, jak zamierzasz to zrobić.

- Podejdę tam i poszukam min – odpowiedział Młody. – Zobaczę jakiego są typu i w jakiej są od siebie odległości. Później zdecydujemy, co robić.

- Bądź ostrożny – powiedział Richard i klepnął go w ramię.

Młody ruszył w kierunku pola minowego. Patrzyli jak ostrożnie podchodzi, wręcz skrada się, do punktów na ziemi, przeciera je delikatnie ręką i oznacza je kupkami kamieni. Trwało to dobrych kilka minut, które dla pozostałych bardzo się dłużyły. W końcu wrócił, cały złany potem.

- Uff... – otarł czoło. – Zrobione...

- Masz jaja, Młody – rzekł Harold. – Nie ma co...

- Dobrze, jak je teraz zdetonować? – spytał doktor Grey.

- Na początek odsuńmy się – powiedział Morton.

Odeszli kilkanaście metrów do tyłu, po czym Młody rzekł:

- Teraz trzeba trafić w jedną, najlepiej taką pośrodku.

- Czy ktoś ma karabin z lunetą? – zapytał Hardy.

- Ja mam – odrzekł Zack. – Dacie radę mnie podsadzić?

Hardy i Harold wzięli go na ramiona, Mark asekurował z tyłu. Zack wycelował, ale Morton zdążył jeszcze powiedzieć:

- Będzie trochę huku...

Iceref strzelił. Potężny wybuch wstrząsnął ziemią. Harold zachwiał się i poleciał na plecy, zrzucając Zacka wprost na Marka. Hardy przewrócił się. Po chwili nastąpił kolejny wybuch, i kolejny. Miny eksplodowały jedna po drugiej, wzbijając w powietrze masę kurzu, kamieni i ziemi, które opadały na uczestników wyprawy. Wszyscy zakryli głowy. Kawalkada ustała po około minucie.

Uczestnicy ekspedycji wstali i zaczęli się otrząpywać. Po opadnięciu kurzu Młody rzekł:

- Pójdę sprawdzić, czy na pewno mamy drogę wolną...

Doktor Grey i reszta ekipy znów obserwowali go z daleka. Rozglądał się uważnie po ziemi rozoranej wybuchami, stąpając ostrożnie jak wcześniej. Po chwili kiwnął ręką w ich kierunku. Richard westchnął z ulgą i powiedział:

- Chodźmy...

- Skubany Młody – rzekł Harold. – Prawdę mówiąc nie wierzyłem, że...

Jego słowa przerwał jeszcze jeden wybuch. Doktor Grey patrzył, jak na zwolnionych obrotach, jak ciało Młodego leci w górę i bezwładnie opada, po chwili uderzając w ziemię z głuchym łoskotem. Harold złapał się za głowę, Francine rozplakała się, wszyscy byli w szoku. Richard podbiegł do leżącego na plecach Mortona. Chłopak nie miał obu nóg...

- Morton... – lekarz nie umiał znaleźć słów. Przytulił go do piersi. – Przepraszam... Tak bardzo cię przepraszam...

- Saper... myli się... raz... tak? – Młody oddychał bardzo szybko. Jego ciałem wstrząsały nagłe drgawki. Z nosa i głowy płynęła mu krew. – Ale... byłem dzielny... prawda?

- Tak, Morton, byłeś... – Richard nie powstrzymywał łez.

- Byłem... po raz pierwszy w życiu...

Po chwili doktor Grey przytulał już do siebie odważnego, ale martwego Mortona Carrie.

Rozdział X: Mariposa

Richard płakał jak dziecko, gdy chowali Młodego. Jak bardzo niepotrzebna była jego śmierć!... Wyrzucał sobie, że zgodził się na jego udział w wyprawie. Dlaczego wtedy nie odmówił? Dlaczego?!

- Richardzie, nic już na to nie poradzisz!... – mówił do niego Harold. – Gdyby nie on wszyscy teraz leżelibyśmy tam i zdychali...

- Zginął przeze mnie!... – jęknął lekarz.

- Nie! W słusznej sprawie! – krzyknął Harold. – Podobnie jak Ted i Virgil! Ryzyko było wpisane od początku w tę podróż, dobrze o tym wiedziałeś i wiesz to nadal! Jutro to mogę być ja albo ty!...

Doktor Grey utkwiał wzrok w stromym stoku, wyrastającym pionowo z podłoża.

- Chodźmy, niedługo zacznie się ściemniać...

Szli dalej. Doktor Grey nie odzywał się, co chwila spoglądając w kierunku dolnej części góry, obok której przechodzili. Harold obserwował go ukradkiem z zatroskaną, ale i zaniepokojoną miną. Nagle po jakimś kwadransie lekarz zatrzymał pochód.

Podszedł do stoku i ukląkł. Rozgarnął dłonią piasek. Pozostali zebrali się wokół niego. Ziemia, którą przecesał palcami była wilgotna. Spojrzał się na swoją ekipę.

- Co tu się dzieje? – spytał bardziej siebie niż innych.

Zaczął badać dłońmi samą górę. Odgarnął z niej pył, a po chwili zastukał. Wydała dziwny dźwięk, przypominający metal.

- Mówiąc szczerze: zdębiałem – powiedział Harold. – Żeliwna góra?

Richard był równie zdziwiony jak on. Ponownie pochylił się ku ziemi i jego uwagę zwróciło coś jeszcze. Było to niewielkie zardzewiałe kółeczko, wbite w skałę, średnicy co najwyżej dwóch cali. Przyjrzał się mu i dojrzał wyżłobiony na nim rysunek. Ikona przedstawiała motyla z umieszczoną na jego skrzydłach wielką literą "M".

- Spójrzcie na to – powiedział, wskazując na znalezisko. Pozostali podchodzili do dziwnego przedmiotu, przypatrując się mu. – Czy ktoś ma pojęcie, co to może być?

Jedynie Zack Icereef nie potrzęsnał głową.

- Nie wiem co to, ale chyba domyślam się, co oznacza ten symbol – powiedział.

Wszyscy spojrzeli na niego. Traper odetchnął i rzekł:

- Dawno temu, gdy wybuchła wojna, wędrowałem z moim ojcem. Byłem młody, miałem jakieś siedem, może osiem lat. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje, dlaczego ludzie tak panikują. Ojciec wytłumaczył mi to, gdy po raz pierwszy zobaczyliśmy na horyzoncie grzyb atomowy. Zrozumiałem, że musiało wydarzyć się coś straszego. W kilka dni po wojnie ruszyliśmy w poszukiwaniu schronienia przed promieniowaniem. Dzięki mapie wiedzieliśmy, gdzie możemy natrafić na miasta, które mogły zostać zniszczone, i omijaliśmy je szerokim łukiem. Nocowaliśmy pod gołym niebem, pośród żywych jeszcze wtedy lasów i rzek. Pewnego dnia spotkaliśmy pewną grupę ludzi.

- Wyglądali na żołnierzy, niektórzy poubierani byli w ogromne skafandry i trzymali w rękach większe działa niż broń Hardego. Było też kilkanaście zwykłych, cywilnych osób. Zaoferowali nam pomoc. Wydawali się uprzejmi. Przystaliśmy na to, żeby wraz z nimi poszukać bezpiecznego miejsca do życia. Ich liderem był starszy gość, miał żonę i syna, mniej więcej w moim wieku. Przedstawił się jako Maxwell, albo Maxson, już nie pamiętam.

- Tak więc szliśmy wraz z nimi. Nie mówili dokąd idą, a ojciec nie pytał. Po dwóch dniach na naszą grupę napadli bandyci. Żołnierze w tych ogromnych zbrojach szybko sobie z nimi poradzili, ale żona dowódcy dostała jakimś przypadkowym strzałem, rykoszetem. On sam nie wyglądał nawet na podłamanego, i nic nie przeszkodziło mu w tym, żeby zostawić własną żonę, matkę jego syna, tak po prostu na pustyni, na pożarcie sępom. Wiedziałem, że mojemu ojcu bardzo się to nie spodobało, ale trzymał język za zębami. Ich potęga była ogromna. Bronie strzelające... nie wiem... laserem? Ciężko powiedzieć... W każdym razie wtedy zrobiły na nas wrażenie, ale wcale nie pozytywne.

- Tej nocy, gdy zatrzymaliśmy się na postój, usłyszeliśmy razem z ojcem jak ten Maxson rozmawia z synem. Mówił tak okropne rzeczy, że do dzisiaj ciarki przechodzą mnie po plecach. Pamiętam to dobrze. Mały płakał po matce, a ojciec pocieszał go słowami: "To była tylko kobieta. Ty jesteś najważniejszy, ty musisz przeżyć. Nikt inny. Gdy dotrzemy do schronu, założymy wspólnie bractwo żołnierzy. Przywrócimy porządek i ład temu światu. Będziemy Bractwem Stali, bo jesteśmy twardzi jak stal i niezniszczalni jak nasza stalowa broń." Wtedy dzieciak powiedział: "Ale ja tęsknię za mamą..." Jego ojciec na to: "Milcz! Milcz, bo zostawię cię jak twoją matkę, albo tych zdrajców w Mariposie. Pamiętasz, co oznacza to słowo?" "Motyl", odrzekł dzieciak, połykając łzy. "Właśnie, *motyl*, a motyle, to zwykłe owady – słabe i

nic nieznaczące jak twoja matka, albo tamci, splugawieni, nie warci wspomnienia ludzie. Ty masz być twardy jak stal. Zawsze."

- Jeszcze tej samej nocy ojciec obudził mnie i czym prędzej opuściliśmy tę grupę. Często zastanawiałem się, czym jest owa "Mariposa". Chyba w końcu znalazłem odpowiedź...

Doktor Grey patrzył na niego w skupieniu.

- Chcesz powiedzieć, że Mariposa to jakiś obiekt wojskowy, baza militarna? – zapytał.

- Bardzo możliwe – odrzekł Zack. – I bardzo możliwe, że właśnie na nią patrzemy...

- Sugerujesz, że to... ta góra? – spytał Harold, spoglądając ponad siebie.

- To możliwe – odpowiedział Richard. – Baza wojskowa to zbyt istotne miejsce, by ot tak widniało na mapie i żeby każdy mógł ją sobie pooglądać. Z pewnością tajne bazy były ukrywane, podobnie jak krypty, nie tylko w celach bezpieczeństwa, ale i zachowania tajności.

- A więc musi być do niej wejście – powiedział Mark.

- Skąd pewność, że to właśnie cel naszej wyprawy? – spytał Hardy. – Po co samemu pchać się w niebezpieczeństwo?

- Spokojnie, pozbierajmy wszystko w jedną całość – powiedział doktor Grey i zaczął spacerować w prawo i w lewo. – Wiemy, że mutanci pochodzą głównie z północy i północnego-zachodu. Wiemy też, że właśnie tam, patrząc od strony The Hub, jest miejsce, w którym właśnie przebywamy, a więc ta góra i mamy dużą pewność, że jest to stara baza wojskowa o nazwie Mariposa, opuszczona przed laty przez grupę żołnierzy. Załóżmy, że te aspekty łączą się – Richard dał im pomyśleć, czekając. Po chwili wyjaśnił dalej: - Zastanówcie się, gdzie indziej – państwo, rząd, wojsko – mogliby trzymać tak szkodliwe dla człowieka czynniki? Od zawsze tak było w tym kraju, już na szmat czasu przed wojną. Jeżeli założymy, że tutaj przetrzymywany był ten czynnik, to sprawa wydaje mi się klarowna.

- Według mnie to trochę naciągane... – odrzekł Hardy.

- Nie pozostaje nam nic innego jak sprawdzić, żeby rozwiać i twoje, i nasze wątpliwości – powiedział doktor Grey.

- A co z tymi ludźmi, o których mówił Zack? – spytała Francine.

Richard spojrzał na nią, próbując sobie przypomnieć.

- No, z tymi zostawionymi przez żołnierzy – dodała. – Przez to Bractwo... Stali, czy coś...

- Ach, tak – Richard kiwnął głową. – No cóż, jeśli udałoby nam się ich znaleźć, być może jakoś pomogliby nam. W końcu mutanci to zagrożenie również dla nich.

- Ale skoro twierdzi pan, że mutanci właśnie stąd pochodzą, to skąd możemy wiedzieć, że już nie rozprawili się z tymi ludźmi? – rzekł Mark.

Doktor Grey rozłożył ręce.

- Pozostaje nam jedynie to sprawdzić – powtórzył.

- Chyba jeszcze o czymś zapomnieliśmy – powiedział Harold.

- Tak?

- Skoro już tutaj natrafiliśmy na miny, to czego możemy się spodziewać w środku, o ile w ogóle uda nam się odnaleźć wejście? – zapytał.

Richard westchnął i odrzekł:

- Może tym razem dopisze nam szczęście...

Ruszyli dalej wzdłuż stoku, niezmiernie ostrożnie wypatrując jakichkolwiek ukrytych zagrożeń. Na szczęście na nic podobnego już nie natrafiali. Doktor Grey obserwował szczyt, notując coś i myśląc intensywnie. Co jakiś czas natrafiali na żeliwne symbole z wyżłobionym motylem i literą "M". Po około godzinie podłoże ponownie uległo zmianie. Było twarde, wręcz ubite prawie idealnie równo, *nienaturalnie*, sztucznie. Po kilku minutach skała, z której zbudowana była góra przeszła w murowaną ścianę, wykonaną z jasnych cegieł. Wszyscy spojrzeli po sobie. Zrozumieli, że są już blisko.

Kilka metrów od miejsca, w którym ujrzeli ceglany mur, zobaczyli coś jeszcze. Było to wysokie, metalowe ogrodzenie, wbijające się w ścianę. Podeszli do niego. Zack zatrzymał pochód i wyrzał zza węgła. Momentalnie się cofnął.

- Jest... – szepnął.

- Wejście? – spytał Richard.

Zack skinął głową i dodał:

- I strażnik...

- Mutant?

Traper ponownie kiwnął głową. Hardy spojrzął na swoje działo i rzekł:

- Tym razem już nie będzie tak łatwo. Nie mam już amunicji.

Doktor Grey spojrzął na niego i powiedział:

- Myślicie, że udałoby nam się go schwytać?

Zapadła głucha cisza.

- O czym ty mówisz? – spytał Harold. – Schwytać takie monstrum? A ja myślałem, że to mnie zaczyna już odbijać...

- Mówię poważnie – odparł lekarz. – Jeżeli jest pojedynczy, to dlaczego nie spróbować?

- Prosta kwestia: po co? – odrzekł Harold.

- Bo jest żywy. Może udałoby nam się uzyskać od niego jakieś informacje.

Harold pokręcił głową. Zack wyrzał za mur i powiedział:

- Jest sam. I chyba dopiero co wyszedł z bazy, wejście wydaje się być otwarte.

Ale jak to zrobić?

Richard rozejrzał się wokół siebie. Chwycił za lornetkę. Po chwili rzekł:

- Zwabilibyśmy go tam. Jest tam chyba jakaś strażnica, ale pusta. Ty, Vincencie, wszedłbyś na nią i spróbował uderzyć go w tył głowy swoją bronią.

Po kolei patrzyli przez lornetkę w kierunku, który wskazywał doktor Grey.

- To może się udać – powiedział Zack. – Tylko musimy jak najciszej się tam dostać.

Tym razem Richard wyrzał zza muru. Dojrzał mutantą po przeciwległej stronie szerokiego placu. Przyglądał się czemuś pochylony i odwrócony do niego plecami. Nie było na co czekać.

- Teraz, szybko wzdłuż ogrodzenia! – powiedział cicho lekarz. – Głowy nisko!...

Ruszyli na kuckach jeden za drugim tuż przy metalowej, grubej siatce. Obserwowali mutantą, który spokojnie klęczał nad czymś szarym i szturchał to palcami. Nagle wstał.

- Richard!... – szepnął Harold.

Członkowie wyprawy zamarli. Hardy wziął do ręki kamień, wstał i rzucił z całej siły przed siebie. Kamień poszybował nad mutantem i uderzył w ogrodzenie po drugiej stronie. Hałas zwabił stwora, który podbiegł do płotu.

- Szybko!... – szepnął Richard.

Pochyleni, ponownie czym prędzej zaczęli przemieszczać się wzdłuż ogrodzenia. Mutant zniknął im z oczu za wrakiem starej ciężarówki pośrodku placu przed

wejściem do bazy. Po chwili doszli do końca płotu, który skręcał w prawo. Szli dalej nad ogrodzeniem. W końcu dotarli do wejścia na plac. Była tu niewielka strażnica i opuszczony szlaban. Zgromadzili się tuż za nią. Doktor Grey wyjrzał zza lewego rogu portierki. Mutant podchodził właśnie do znaleziska, które studiował wcześniej. Pochylił się i ponownie zaczął je badać. Lekarz zwrócił się do reszty:

- To chyba dobry moment. Vincencie, podsadzimy cię. Uważaj, żeby cię nie dojrzał i żebyś nie spadł. Dach tej pakamery nie wydaje się zbyt pewny.

Hardy kiwnął głową i oddał broń Markowi. Zack i Harold splekli ręce, tworząc schodek, tak by mógł on łatwiej dostać się na strażnicę. Po chwili był już na górze. Mark podał mu broń. Richard powiedział:

- Dobrze, teraz my. Ja i Harold spróbujemy go tutaj zwabić. Mark i Francine, wejdźcie do środka i nie ruszajcie się. W razie czego celujcie mu w głowę.

Rodzeństwo zgodnie kiwnęło głowami i oboje weszli do otwartej na oścież strażnicy.

- Zack, stań za ścianą i miej broń w pogotowiu. Haroldzie, jesteś gotów?

Harold rozłożył ręce i rzekł:

- Do dzieła...

Richard i Harold wstali i podeszli do szlabanu od strony placu. Zobaczyli mutanta. Harold krzyknął:

- Hej, zielonomordy!

Mutant obejrzał się i dojrzał obu przyjaciół. Wstał. Richard krzyknął:

- Chodź do nas! Mamy coś dla ciebie!

Mutant patrzył się na nich, najwidoczniej nie rozumiejąc, skąd zjawili się tutaj ludzie. Richard dał krok w kierunku strażnicy, pociągając Harolda. Po chwili mutant ruszył w ich stronę. Przyspieszył. Richard podszedł do strażnicy. Harold również, wyciągając z kieszeni pistolet. Mutant podbiegł do portierki. Harold wycelował w niego z broni. Ten nagle zatrzymał się, tuż obok wejścia do strażnicy.

- No!... Wiesz, że to robi krzywdę, prawda? – Harold zakołysał bronią. Mutant spojrzał na niego i tkwiący w jego dłoni pistolet. Doktor Grey kątem oka dojrzał Zacka z gotową do użycia strzelbą i powstającego Hardego.

- Mądry, zielony... – powiedział cicho Harold.

- Teraz! – krzyknął Richard.

Hardy, który klęczał na dachu strażnicy zamachnął się i zdzielił mutantą w tył głowy kolbą swojej broni. Stwór zachwiał się i złapał za potylicę. Hardy zamachnął się ponownie i uderzył go drugi raz. Mutant runął nieprzytomny na ziemię.

- Szybko, musimy go obezwładnić! – powiedział Richard i sięgnął do swojej torby. Po chwili wyjął z niej grubą linę. Zack posiadał podobną. Wraz z Hardym i Markiem skrzepowali mutantowi ręce na plecach. Wspólnymi siłami obrócili stwora i, klęczącego, oparli go o strażnicę.

- Cholera, myślałem, że pójdzie trudniej... – wysapał Harold.

Doktor Grey otarł pot z czoła i przyjrzał się mutantowi. Ponownie sięgnął do swojej torby i wyjął niewielką przezroczystą butelkę. Odkręcił i przyłożył mutantowi do nosa. Stwór od razu się ocknął, wzrok miał nieprzytomny, oczy zaszyły mu łzami.

- Co to? – spytał Harold.

- Sole trzeźwiące – odparł lekarz. – Przez jakiś czas pozostanie oszołomiony. Trzymajcie broń w pogotowiu.

Hardy przeładował strzelbę i wycelował w głowę mutantą. Zack uczynił podobnie. Harold i Mark trzymali pistolety w dłoniach. Mutant zaczął wydawać dziwne dźwięki. Charczał i krztusił się. Po chwili kichnął potężnie i spuścił głowę. Doktor Grey kucnął,

aby zrównać swój wzrok z oczyma zielonego potwora. Mutant podniósł je i rozejrzał się. Szarpnął rękoma, ale więzy trzymały mocno. Zrozumiał, że jest na łasce obcych mu ludzi. Richard spoglądał intensywnie na mutanta. Ten wymienił z nim spojrzenie.

- Czy mnie słyszysz i rozumiesz? – spytał lekarz.

Mutant kiwnął głową.

- Nie chcemy cię skrzywdzić, chyba że sam do tego doprowadzisz – mówił dalej Richard. – Chcę ci tylko zadać kilka pytań. Rozumiesz?

Mutant ponownie spojrzał dookoła, zatrzymując wzrok na strzelbach Hardego i Zacka, i kiwnął głową.

- Czy wewnątrz jest was więcej? – spytał doktor Grey.

Mutant przytaknął.

- Czy to jest baza wojskowa o nazwie Mariposa?

Mutant ponownie kiwnął głową twierdząco.

- Czy tutaj znajduje się coś, co zmienia takich ludzi jak my w takich jak ty?

- Czym niby różnimy się od siebie poza wyglądem? – odpowiedział mutant bardzo niskim głosem. Doktor Grey osłupiał, pozostali również. Przez chwilę nikt się nie odezwał, wszyscy byli w szoku.

- Czemu tak nagle zaniemówiłeś? – spytał mutant ponownie. – Dziwisz się, że możesz się z nami dogadać?

- Z nami?

- Ze mną i moim ojcem.

Nikt niczego nie rozumiał.

- Tak, dziwię się – odrzekł po chwili Richard. – Do tej pory spotkałem podobnych tobie z dużym ubytkiem inteligencji. Jak to się stało, że ty ją zachowałeś?

- Nie wiem – odpowiedział krótko mutant.

- A jak w ogóle zostałeś zmieniony?

- Wirusem.

- Co to za wirus? – zapytał lekarz, marszcząc czoło.

- FEV – wirus wymuszonej ewolucji. Tak, tak, ojciec... – dodał szeptem.

- Co to diabła takiego? – wyrwał się Harold. – Słyszałeś o tym?

- Niewiele – odrzekł Richard, – jeszcze kiedy przebywałem w krypcie. Wiem, że rząd maczał w tym palce. Miała to być odpowiedź na broń biologiczną innego kraju. Ale nie znam działania tego wirusa...

- Widzisz za to efekt – przerwał mu mutant.

Richard spojrzał na niego i rzekł:

- Mówiłeś, że jest was więcej. Ilu?

- Wystarczająco, żeby sobie z wami poradzić – odrzekł mutant gniewnie i szarpnął nadgarstkami. – Po co nas nachodzicie? Jesteście tym całym bractwem, tak? Chcecie na nowo przejąć bazę? Nie uda wam się. To nasz dom, mój i ojca, i będziemy go bronić...

- Nie, nie jesteśmy tymi, za kogo nas uważasz – powiedział Richard i zbliżył się do mutanta. – Pochodzimy z zupełnie innego miejsca. Twoi... bracia i siostry atakują nas, czyli niezmienionych ludzi. Chcemy tego zaprzestać. Dlatego zawędrowaliśmy aż tutaj...

- Moi bracia, powiadasz... – odparł mutant i uśmiechnął się krzywo. – Chodzi ci chyba o tych głąbów, których stąd wyrzuciliśmy wraz z ojcem, bo rujnowali nasz dom. Swoją głupotą i bezmyślnością. Oni mnie nie obchodzą, niech robią co chcą. Nie chcę, by niszczyli to, co osiągnęliśmy. Z resztą w środku znajdziesz ich jeszcze całe mnóstwo – roześmiał się.

Doktor Grey przysunął się jeszcze kawałek i powiedział po chwili:

- Po co to robisz?

Mutant wykonał dziwny tik głową i przewrócił oczyma.

- Dla siebie... – odparł i spojrzął się głęboko w oczy Richardowi. – I na cześć mojego ojca, doktora Paula von Feldena, który poświęcił swoje życie nauce, a został zbesztany i zamordowany. Tak kontynuuję jego wielkie dzieło.

Lekarz wstał i spojrzął z góry na mutanta.

- To bardzo egoistyczna postawa... – odparł Grey – ...panie von Felden. Zabijcie go.

Hardy przeładował strzelbę. Harold spojrzął ze zdziwieniem na Richarda.

- Ale co on zrobił? – zapytał.

- W głównej mierze to on sprowadził na nas mutantów – odpowiedział Richard. – Jako jedyny z nich zasłużył sobie na śmierć. Jeżeli nie chcesz, nie musisz tego robić.

Harold przez chwilę zmagął się z sobą. W końcu przeładował swój pistolet i wycelował w mutanta. Doktor Grey odwrócił się. Usłyszał głos Hardego:

- Na mój znak: cel... pal!

Rozdział XI: Richard Moreau

Richard oddychał szybko. Był zdenerwowany. Nie – był wściekły z powodu tego, co usłyszał. Wściekły i wstrząśnięty zarazem. Rzucił okiem na martwego mutanta, syna zabitego niegdyś naukowca von Feldena i powiedział:

- Ruszajmy do środka.

- Nie wiem, czy to jest najlepszy pomysł – odparł Harold. – Tak, wiem, jesteśmy już u celu, ale... sam słyszałeś, jest ich tam więcej. A jeżeli są do tego tak inteligentni jak ten, to dodatkowo z całą górą mięśni mogą chyba stanowić... potencjalne zagrożenie, co? No i ten jego ojciec...

- Jego ojciec nie żyje – odrzekł doktor Grey, – a on zwariował. Haroldzie, musimy dowiedzieć się, co ich mutuje. Jeśli nie spróbujemy, to można przyjąć, że ta wyprawa całkowicie nie miała sensu.

- Przecież powiedział co – to "FVE", czy coś tam – Harold nie dawał za wygraną.

- Ale wciąż nie wiemy jak to działa, czy skutki mutacji można odwrócić, albo czy da się to wszystko zniszczyć, żeby zapobiec dalszemu mnożeniu się mutantów – odpowiedział Richard. – Rozumiesz mnie? Nie możemy teraz się poddać!...

Harold odrzekł dopiero po chwili:

- Rozumiem cię, Richardzie. Ja tylko chcę *przeżyć*.

Doktor Grey i Harold wymienili długie spojrzenie.

- Panowie, nie chcę wam przeszkadzać, ale chyba mamy uciekinierów – powiedział nagle Hardy, wskazując ręką na potężne drzwi umieszczone w ceglany murze tuż u podnóża góry. Do tej pory uchylone, rozwarły się i z środka z wolna zaczęły wychodzić mutanci, prawie trzymetrowe, zielone stwory, efekty zemsty i osobistych, bezsensownych pobudek. Sprawiali wrażenie wystraszonych, patrzyli pustym wzrokiem wokół siebie, nic nie rozumiejąc. Było ich co najmniej dwudziestu.

Uczestnicy ekspedycji ukryli się za wrakiem ciężarówki, kilkanaście stóp od strażnicy, obserwując wędrówkę mutantów. Broń mieli w pogotowiu, ale czuli, że nie będzie ona potrzebna. Patrzyli jak mutanci strachliwie, jeden za drugim podchodzili do południowej strony siatki otaczającej plac przed wejściem do bazy. Dotarli do szlabanu i strażnicy i z przerażeniem w oczach spoglądali na zwłoki mutantu von Feldena. Strach na ich twarzach jednak ustępował jakby innemu odczuciu –

członkom wyprawy wydawało się, że to ulga. Mutanci przekroczyli opuszczony szlaban i wyruszyli na pustynię.

Harold westchnął i przerwał milczenie:

- Może wejdźmy tam w nocy? Jeśli nawet jacyś zostali w środku, to może będą spać...

- Dobry pomysł – odrzekł Richard. – Odpocznijmy i udamy się tam nocą. Przyda nam się chwila oddechu.

Był to zdecydowanie dzień pełen wrażeń.

Wieczór przyszedł szybko. Członkowie wyprawy siedzieli wokół niewielkiego ogniska, jakie udało im się rozpalić z kilku uschłych gałęzi. Nie wzniecali zbyt dużego ognia, by w razie pojawienia się mutantów, szybko je ugasić, nie narażając się na ujawnienie. Obserwowali wejście, niewiele mówiąc. Doktor Grey, swoim zwyczajem, notowałby coś zapewne, rozmyślał, analizował, ale siedział ze splecionymi dłońmi, smętnie spoglądając w tłący się ogień. Harold patrzył na niego z ukosa. W końcu przerwał milczenie:

- Mieliśmy sporo szczęścia, że złapaliśmy akurat tego mutanta, prawda? Każdy inny prawdopodobnie nie wymówiłby poprawnie nawet jednej sylaby...

Mark i Francine pokiwali głowami. Hardy i Zack milczeli. Doktor Grey wciąż zapatrzony był w ogień. Harold próbował wydobyć choć słowo z przyjaciela:

- Richardzie, a co wiesz o tym... eee... wirusie?

- Wiem tylko, że z założenia miała być to groźna broń biologiczna – dokończył Richard i westchnął. – Czytałem, że jeszcze przed wojną jakieś informacje wyciekły do opinii publicznej, chyba były z tego powodu zamieszki. W całym kraju panowała plaga, wprowadzono kwarantannę. Ludzie oskarżyli rząd o rozpowszechnianie epidemii. Przecież to bez sensu, ale... nie powstrzyma się mas...

- Tak, zwłaszcza mas zielonych, wielkich potworów... – dokończył cicho Harold, ale Richard przerwał mu:

- *Ludzi*, nie potworów. To byli zwykli ludzie, którzy wcale nie chcieli stać się tym, czym się stali. Niewinni, tak bardzo skrzywdzeni wbrew własnej woli. niesprawiedliwie...

Harold zamilkł. Przypatrywał się doktorowi Greyowi, który mrużył oczy i kręcił lekko głową, jakby chciał odgonić od siebie złe myśli.

- Zostali potraktowani tak bardzo niesprawiedliwie – powiedział cicho Richard. – Zupełnie jak ja...

Lekki wiatr zatrzepotał płomieniami w niewielkiej wiatrce. Doktor Grey westchnął i zaczął mówić, sam z siebie. Nikt mu nie przerywał, każdy słuchał tak uważnie jak jeszcze nigdy w życiu...

- Nigdy nie opowiadałem wam skąd pochodzę. Nawet tobie, Haroldzie. Po prostu kiedyś spotkaliśmy się, zabrałeś mnie do Hub i jakoś się potoczyło. Nie pytałeś, nie mówiłem. Wolałem, żeby tak było. Wolałem być Richardem Greyem, prostym lekarzem, który chce pomagać. Ale prawda jest inna. Zupełnie inna. Nie, nie jestem bandytą, ale dawno temu, niesłusznie, posądzono mnie o coś, czego nie zrobiłem. O czym nie śmiałybym nawet pomyśleć. Przez co musiałem udać się na wygnanie i zmienić nazwisko.

- Kiedyś nazywałem się Richard Moreau. Mieszkałem w Krypcie o numerze identyfikacyjnym osiem. Bardzo dobrze pamiętam dzień, w którym tam trafiłem. Przepiękny, jesienny dzień, zdawało się, że jeden z ostatnich tak ciepłych i słonecznych w tym roku. Miałem chyba szesnaście lat. Pamiętam jak tamtego

popołudnia po raz kolejny na przestrzeni kilku dni zawyły syreny. Gdyby nie moja mama pewnie wzruszyłbym na to ramionami i zlekceważył to, jak moi rówieśnicy, ale ona od razu odnalazła mnie i zmusiła do udania się do schronu. Wielu moi przyjaciół wtedy zginęło, ale mnie udało się przetrwać. Dzięki mojej mamie.

- Mieszkaliśmy w Krypcie Ósmej przez ponad czternaście lat. Bywały gorsze i lepsze dni, jak to w społeczeństwie. Było nas bardzo wielu, ale staraliśmy się żyć jak najbardziej normalnie. Dużo o tym myślałem, o życiu w zamknięciu, w takich samych strojach. Gdzie w tym normalność? To raczej więzienie. Według naszego Nadzorcy jednolite uniformy miały za zadanie zapobiegać szerzeniu się zawiści. Cóż, nie oglądając świata przez tak długo, można faktycznie zwariować, nawet z zazdrości o ubranie. Niektórych spotkał taki los. Tak, Nadzorca nie był głupi, ale cwany. Z czasem coraz bardziej zaczął nadużywać darowanego mu stanowiska, choć nie bezpośrednio. Mówił to, co ludzie chcieli usłyszeć, dlatego mu wierzyli. Zauważyłem to, ale jeszcze wtedy nie wiedziałem, jaki w tym jego cel. Sam natomiast w międzyczasie zostałem praktykantem u Medyka Schronu, doktora Sayera.

- Doktor Sayer był wielkim człowiekiem i wspaniałym lekarzem. Mimo wrodzonej skromności, miał duże poważanie wśród mieszkańców Krypty. Nauczył mnie wszystkiego, co sam potrafił. Zaufał mi, choć czasami do tej pory zastanawiam się, dlaczego wybrał akurat mnie. W jakiś sposób wiedział, że nie boję się widoku krwi, lubię pomagać innym. W każdym razie miałem szczęście, że to akurat u niego mogłem się uczyć i jego zastąpić. Prowadziliśmy razem badania nad nowymi sposobami leczenia. Doktor Sayer był geniuszem, naprawdę wielkim umysłem. Niestety zmarł, niecałe osiem lat po naszym wejściu do schronu. Zdażyłem już jako jego pomocnik wyrobić sobie jakiś szacunek i ludzie zaakceptowali mnie jako Medyka. Po kilku tygodniach zgłosiła się do mnie młoda, piegowata dziewczyna i zdecydowanym tonem oświadczyła, że chce zostać pielęgniarką. Pomyślałem, czemu nie? Tak nawiązała się moja znajomość z Susan.

- Czas mijał, życie w schronie biegło dalej swoim niespiesznym rytmem. Jednak ludzie zaczęli coraz głośniejszy pytać o to, kiedy opuścimy Kryptę. Niektórzy wiedzieli, że promieniowanie nie trwa wiecznie, dzielili się tym z innymi. Powstawały domysły, w końcu plotki. Wszystko zmierzało w kierunku buntu. Nadzorca widział to i starał się ich uspokoić, ale powoli przestawał nad nimi panować. Temperament ludzi południa kraju dawał o sobie znać. Kroplę, która przepelniła czarę, przyniósł pewien zimowy dzień, kilka dni przed Nowym Rokiem. Okazało się, że jedna z krypt została otwarta. Ile było w tym prawdy? Nie mam pojęcia. Jedynie Nadzorca i Rada Krypty mieli dostęp do takiej wiedzy i odpowiednich danych. Czułem jednak, że coś w tym jest, bo niecałe dwa tygodnie po rozpowszechnieniu się tej informacji Nadzorca ogłosił na zebraniu wszystkich mieszkańców schronu, że rozpoczynają się przygotowania do opuszczenia Krypty. Tak się stało na początku lutego, dwa tysiące dziewięćdziesiątego pierwszego roku.

- Dzięki specjalnemu urządzeniu, zwanemu Generatorem Ekosystemu Cudownej Krainy, wyznaczeni ludzie zaczęli szukać na powierzchni odpowiedniego obszaru do zasiedlenia. Okazało się, że promieniowania nie było prawie w ogóle w okolicy Krypty Ósmej, dlatego też wspólnymi siłami zaczęliśmy budować na zewnątrz nowe miasto, nasze miasto. Ludzie byli szczęśliwi, że w końcu zostawiali za sobą życie w zamknięciu. Pracy było mnóstwo, ja również miałem pełne ręce roboty. W końcu na budowie nietrudno o jakiś uraz. Susan starała się jak mogła najlepiej. Nauczyła się wielu rzeczy i była bardzo pomocna. Staliśmy się bliskimi przyjaciółmi. Ludzie zaczęli gadać, że stworzyła się para z dwójki lekarzy. Chcieliśmy wyprowadzić ich z błędu, ale i tak nie słuchali. My jednak wiedzieliśmy swoje. To były moje najpiękniejsze dni.

- Vault City zostało oficjalnie otwarte pierwszego grudnia. Była huczna zabawa, wszyscy byli zadowoleni, ulga zdawała się przepelniać powietrze. Każdy kto chciał przenościć się do szybko powstających domów. Ja jednak nie opuściłem schronu. Miałem tam całe wyposażenie, nie było sensu. Toteż przyjmowałem chorych w moim starym gabinecie. Jak się okazało nie wyszło mi to do końca na dobre. Pewnego letniego dnia, kilka miesięcy po otwarciu miasta, stałem się mimowolnym świadkiem rozmowy. To był Nadzorca i dwóch jego najbliższych kompanów. Oni jako jedyni nie byli radzi z opuszczenia Krypty. Bez przerwy tam przebywali. Czasem ich widywałem, jak pochłonięci cichą rozmową wędrowali na powierzchnię, chyba tylko po to, żeby robić dobrą minę do złej gry. Właśnie wtedy dowiedziałem się, jakie są prawdziwe zamiary Nadzorcy. Miał świadomość, że traci władzę nad ludźmi, którzy na domiar złego dla niego, zaczęli coraz głośniejsze mówić o utworzeniu demokratycznej społeczności. Sami zaczęli już nawet budować ratusz. Nadzorca nie mógł się z tym pogodzić. Powiedział, że prędzej zdechnie niż zrzeknie się swojego stanowiska, i że utrzyma go za wszelką cenę, choćby miał się posunąć do użycia siły. Bądź co bądź, nadal był opiekunem wszystkich tych ludzi. A chciał zostać tyranem. Słyszałem i rozumiałem to dobrze. Na moje nieszczęście, on mnie wtedy zobaczył. Uśmiechnął się jak gdyby nigdy nic i coś zagadał, ale miał świadomość, że ktoś trzeci wie o jego planach. Czego zapewne się także domyślał, to że nie pozostanę na to obojętny. I miał rację.

- Wiele rozmawiałem na ten temat z moimi pacjentami. Wręcz zachęcałem ich do tego, żeby przeprowadzić w Vault City demokratyczne wybory, by ludzie wybrali sami swojego reprezentanta, lidera. Dumnie nazywali się obywatelami miasta, więc wpajałem im, by uchwalili prawo, jakiś cień konstytucji, by żyli tak jak przed wojną. Jedyną osobą, której powiedziałem całą prawdę, była Susan. Przyznawała mi rację i wspierała. Gdy ratusz był już ukończony, ale wciąż pozostawał pusty, bo stał tak naprawdę dla nikogo, ludzie zaczęli tłumnie walić do drzwi Nadzorcy. Poznawali jednak jego prawdziwą twarz. On sam prawie spanikował, ale zaczął działać. Niestety na moją niekorzyść...

- Pamiętam to jak dziś. Był dwudziesty trzeci października, dokładnie piętnaście lat po Wielkiej Wojnie. Jak co dzień udałem się do mojego gabinetu. Na miejscu czekało jednak na mnie kilku ludzi, wzbudziło to we mnie niepokój. Posłusznie udałem się z nimi na powierzchnię. Zaprowadzili mnie, ku mojemu zdziwieniu, do domu Susan. Tam czekał Nadzorca i jej zapłakani rodzice. Spytałem, co się stało. Odpowiedzieli mi, że Susan nie żyje. Oblał mnie zimny pot... Wpadłem do domu i podszedłem do jej łóżka. Leżała bez ruchu... Sprawdziłem jej puls... Była martwa... Błada, bezbronna... Byłem w szoku, ale to pamiętam... Nadzorca podszedł do mnie i spytał, czy domyślał się jak mogła umrzeć. Spojrzałem na jej usta – były wręcz fioletowe. Wyglądało to na zatrucie. Zapytał zatem, co robiłem tej nocy. Zabrakło mi słów... Podejrzewali mnie? Czy ja mógłbym coś zrobić Susan, mojej przyjaciółce, mojej bratniej duszy?! Nadzorca oświadczył, że są świadkowie, którzy widzieli mnie wczoraj wychodzącego stąd o późnej porze. Oczywiście, odparłem, przecież była chora już od kilku dni. Opiekowałem się nią. Nadzorca zasugerował więc, że celowo zaaplikowałem Susan zbyt dużą dawkę silnego lekarstwa. Nie wytrzymałem! Po co w ogóle miałbym to robić? Po co, do ciężkiej cholery?! Może, by wyeliminować swoją przyszłą konkurencję, odrzekł Nadzorca. Nie rozumiałem. Matka Susan przypominała mi, że jej córka nosiła się z zamiarem opuszczenia Krypty. Jego zarzuty były tak nedorzeczne, że aż śmieszne. W końcu zaczęło do mnie docierać. Za dużo o nim wiedziałem i za dużo wobec niego działałem. Chciał się mnie pozbyć, kosztem Susan... A jej matka... nie wiedziała wszystkiego. Chciałem jej wytłumaczyć, że

wspólnie chcieliśmy to zrobić, że i dla nas przyszedł czas na opuszczenie schronu, założenie szpitala w rozrastającym się mieście, ale Nadzorca przerwał mi i rozkazał mnie aresztować. Nie wiedziałem, co robić... Wpadłem w szal, chyba... zemdlałem...

- Obudziłem się w pokoju dla więźniów w Krypcie. Przetrzymywali mnie tam sam nie wiem jak długo... Byłem półprzytomny... Nic się dla mnie nie liczyło, wciąż przed oczyma miałem piegowatą buzię mojej Susan... Zamordowanej Susan... Przyszedł czas na proces, sędziował rzecz jasna Nadzorca. Dał mi dwie możliwości: albo przyznam się do winy i zostanę wygnany z miasta, albo zginę. Z początku nie chciałem się przyznawać, nie chciałem dawać mu tej satysfakcji. Śmierć była dla mnie nieważna. Ale on dyskretnie uświadomił mi, że moja chorowita matka też mogłaby przypadkowo przedawkować medykamenty. Nie mogłem do tego dopuścić. Zgodziłem się na wygnanie. Tej nocy widziałem moją mamę po raz ostatni. Powiedziałem jej, że nie zabiłem Susan. Wierzyła mi. Powiedziałem jej o wszystkim, co wiedziałem i poprosiłem, żeby wytłumaczyła to rodzicom Susan. Później była już tylko cisza i moja ostatnia noc w Krypcie Ósmej.

- W eskorcie kilkunastu strażników zostałem wywieziony na pustynię. Zapewne na rozkaz Nadzorcy pobili mnie i zostawili na pastwę losu. Nie chciałem się poddawać. Ruszyłem dalej na południe. Błąkałem się po nieznanym mi terenie, głodny i wyczerpany. W końcu natrafiłem na karawanę. Zawieźli mnie do miasta zwanego Redding. Pomógł mi tamtejszy lekarz, gdy dowiedział się, że zajmuję się tym samym. Przedstawiłem się jako Grey, to nazwisko mojej matki. Tak już pozostało. Nie zostałem tam jednak zbyt długo. Chciałem znaleźć się jak najdalej od przekłętą Vault City. Wędrowałem więc sam, lub w karawanie. Koczowałem w obozach z obcymi mi ludźmi, albo spałem pod gołym niebem. Sam nie wiedziałem dokąd chcę dojechać. Szukałem czegoś, ale sam nie wiedziałem czego. Czy to był spokój? Czy ukojenie bólu? Pomagałem innym, gdy tylko mnie o to poprosili, a nawet czasem, gdy tego nie chcieli. Żyłem z dnia na dzień, tak naprawdę nie chcąc żyć. Trwało to bardzo długo, za długo.

- Moja tułaczka trwała ponad cztery lata. Cztery długie, wyczerpujące, przepełnione cierpieniem lata. Wtedy poznałem ciebie, Haroldzie. Pamiętasz nasze rozmowy, prawda? Tchnąłeś we mnie optymizm, wiarę w spokojne, normalne życie. To było jak wiosna, która wtedy właśnie się zaczynała. Odrzuciłem demony przeszłości. Przywiozłeś mnie spod Junktown do The Hub. Mając prawie trzydzieści sześć lat rozpocząłem nowe życie dzięki tobie. Będę ci za to dozgonnie wdzięczny...

- Taka jest moja historia...

Rozdział XII: W bazie

"Dwudziesty trzeci czerwca. Wchodzimy do środka. Boże, jeśli istniejesz..."

Richardowi pomysł i chęci do dokończenia. Zamknął dziennik i schował do swej lekarskiej torby.

- Ruszajmy... – powiedział cicho.

Zaczynało świtać. Ich postój nieco się przedłużył, grupa była bardzo zmęczona, wyczerpana ponad miesięczną, morderczą wędrówką. Teraz, gdy prawdopodobnie dotarli wreszcie do celu, wstępowały w nich nowe siły, ale mieli świadomość, że są one na wykończeniu, że to ostatni taki zryw. Nie wyobrażali sobie powrotu, nie myśleli o nim. Skupili się na chwili bieżącej.

Ekspedycja doktora Greya podeszła do otwartych na oścież drzwi wejściowych do bazy wojskowej. Mieli sporo szczęścia, że mutant von Felden postanowił zaczerpnąć

powietrza właśnie wtedy, gdy dotarli do góry. Zauważyli bowiem, że drzwi posiadają cyfrowy zamek kodowy. Jego obejście wydawało się niemożliwe, a wyważenie potężnych, tytanowych drzwi, o grubości co najmniej półtorej stopy w ogóle nie wchodziłoby w rachubę. Minęli próg i weszli do wewnątrz.

W środku było chłodno, zdawało się, że klimatyzacja wciąż działa. Szli wąskim, zaciemnionym korytarzem. Po przejściu kilkunastu metrów spostrzegli kamerę, skierowaną w ich stronę. Zamarli w bezruchu, ale najwidoczniej była nieaktywna, gdyż nie uruchomił się żaden alarm. Skręcili w lewo i weszli do oświetlonego przedsionka. Ściany bazy były wykonane z jasnego marmuru. Ich blask uderzał w oczy tak intensywnie, że uczestnikom ekspedycji dłuższą chwilę zajęło przystosowanie się do nowych warunków. Przeszli jeszcze kawałek i natrafili na osobliwe pomieszczenie. Po obu jego bokach oraz na przeciwko wejścia zauważyli cztery przejścia. Trzy z nich wydawały się zablokowane przez półprzezroczystą warstwę jakiejś dziwnej materii, żółtej i jasnoczerwonej. Jedynie to z lewej strony było dezaktywowane. Nad przejściem widniał napis "Kwatery ochrony".

- Co to może być? – spytał półszepem Mark.

Richard i Harold znali odpowiedź.

- To pola siłowe – odpowiedział lekarz. – Pamiętam takie z krypty. Blokowali nimi dostęp do zapasów pożywienia i broni.

- Tak, a ja pamiętam sposób na ich obejście – dodał Harold. – Chyba, że nie zamierzamy przez nie przechodzić, skoro to tutaj jest otwarte – wskazał ręką w lewo.

Doktor Grey spojrzał na nie i na tabliczkę wiszącą nad nim. Zmarszczył brwi.

- Nie byłoby rozsądne od razu wpadać w ręce żołnierzy – rzekł. – Spróbujmy najpierw przez któreś z tych.

Dwa przejścia na wprost członków wyprawy były zablokowane żółtym polem siłowym. To z prawej – czerwonym.

- Tym nie przejdziemy – powiedział Harold, wskazując na czerwone pole. Podeszedł do jednego z przejść na wprost. Kucnął i przyjrzał się futrynie. – Zwykle otwierało się je kartą magnetyczną. Ale jest tutaj taki mały... Zaraz... Nie, nie ma... Dziwne...

- Czego nie ma? – spytał Richard.

- Zwykle był tutaj niewielki transformator – odrzekł Harold. – On emitował cienką stróżkę lasera, a później sensory rozprowadzały go po specjalnej futrynie. Ale tutaj jest inaczej. Jest schowany. I zaplombowany. Jest to lepiej zabezpieczone, musieli je usprawnić.

- A w tamtym? – powiedziała Francine, wskazując na prawe drzwi.

Harold podeszedł do przejścia z czerwonym polem siłowym. Przyjrzał się futrynie i po chwili uśmiechnął.

- Jest – powiedział. – Zuch dziewczyna... Słuchajcie, macie może pusty magazynek?

- Tak, ja mam – odparł Zack i podał go Haroldowi.

Harold wziął magazynek, odchylił lekko osłonę transformatora, przyłożył opróżnioną część broni tuż obok emitowanej wiązki lasera i pchnął. Nagle krzyknął i odsunął się. Nastąpiło zwarcie i pole siłowe znikło. Harold spojrzał na swoją dłoń. Była dość mocno poparzona.

Doktor Grey błyskawicznie zareagował. Wyjął z torby srebrną puszkę, wstrząsnął ją i spryskał ranę Harolda białą substancją. Chwilę później owinał dłoń bandażem.

- To pomoże – powiedział. – Ale umówmy się, że nie będziesz już tego próbował, okej?

Harold odetchnął z ulgą i odrzekł:

- Przypomnij mi, żebym ci podziękował, jeśli przeżyję...
Uczestnicy ekspedycji uśmiechnęli się.

Doktor Grey jako pierwszy przeszedł przez otwarte przejście. Kolejne pomieszczenie było podobne do tego, które opuszczali. Pod wschodnią ścianą, naprzeciwko wejścia, było ustawionych kilka nieaktywnych konsoli komputerowych. Skręcili w lewo. Spostrzegli, że pokój był od północy przedzielony ścianą. Nie było jednak pola siłowego. Widniało ono dopiero na kolejnej północnej ścianie.

Doktor Grey podszedł do terminali. Były wyłączone. Wspólnie przeszli do odgrodzonego pomieszczenia na północy. Tutaj jeden z komputerów pracował. Richard podszedł do niego i uderzył w klawisze. Ekran zamigotał i rozświetlił się.

- Umiesz to obsługiwać? – spytał Harold.

- Pracowałem na takich w Krypcie Ósmej – odparł lekarz, wpatrując się w monitor.

– Mam nadzieję, że jeszcze coś pamiętam...

Poprawił okulary i zaczął nad wyraz sprawnie przeszukiwać zasoby komputera. Pozostali ustawili się za nim i przyglądali. Doktor Grey szybko czytał i wyświetlał kolejne strony, wypełnione różnego rodzaju informacjami.

- Nie ma żadnych planów tego kompleksu – powiedział. – Ani obrazu z kamer...

- Może... akurat na tej maszynie jest to niemożliwe – rzekł Mark.

- Słusznie, nie mamy dostępu – odparł lekarz i ponowił przeszukiwanie.

Przeglądał dane o przeznaczeniu bazy, jej historii, broni, a nawet robotach. W końcu chyba znalazł to, czego tak naprawdę szukał. – Jest coś o tym wirusie – powiedział. – Wypełnione nici DNA... usunięte geny recesywne... powiększone aksony i dendryty... przecież to niemożliwe...

Doktor Grey wyglądał na zdumionego. Pozostali niewiele rozumieli z tych słów.

- Co to wszystko oznacza? – spytał Harold.

- Najprościej mówiąc – odparł lekarz – tak wyglądałby człowiek idealny, pozbawiony wad genetycznych, o ostrych zmysłach i szybkich odruchach. Zaraz... RNA przekazuje więcej informacji... to naprawdę niemożliwe! – powtórzył. – Dziwię się, że w ogóle coś takiego zostało kiedykolwiek wynalezione! Za pomocą tego wirusa można by wytworzyć idealną populację...

- A może idealną armię? – zasugerował cicho Mark.

Doktor Grey spojrzał na niego i skinął głową w milczeniu.

- W każdym razie chyba jednak coś im nie wyszło – rzekł Harold z wątpiącą miną.

Doktor Grey zastukał w klawisze. Nagle monitor zamigotał, jak podczas uruchamiania i zrobił się czarny. Richard próbował na nowo go włączyć, ale nie udało mu się.

- No cóż, przynajmniej nieco się rozjaśniło... – skwitował.

- Doktorze, niech pan spojrzy – powiedział Hardy, który próbował czegoś dojrzeć poprzez żółte pole siłowe na północnej ścianie. – Czy tam aby ktoś nie leży?

Członkowie wyprawy podeszli do niego. Dojrzeli, że tuż za rogiem wystają czyjeś nogi. Były jednak znacznie większe, niż normalnego człowieka.

- To mutant? – spytał Harold, nie wiedząc w zasadzie do kogo skierować to pytanie.

- Możliwe – odparł Richard.

- A co on tam robi? – spytała Francine.

Doktor Grey zmarszczył czoło i pomyślał. Po chwili odrzekł:

- Cóż, skoro tamten obszar jest tak odizolowany – wskazał na pole siłowe, – to być może tam trzymane są eksperymenty von Feldena.

- Może niech lepiej tam pozostaną – powiedział Harold, spoglądając na ranną dłoń. – Przynajmniej ten jeden kłopot mniej.

- To prawda – westchnął lekarz. – Myślę, że nic tu po nas. Wracamy. Spróbujemy przejść przez pokój ochrony.

Opuścili pomieszczenie i udali się do pokoju z czterema przejściami. Stanęli przed dezaktywowanym wejściem do "Kwater ochrony". Jeden za drugim, skradając się tuż przy ścianie, weszli do pomieszczenia. Spostrzegli, że było ono wypełnione piętrowymi pryzkami. Przy każdym łóżku ustawiona była szafeczka. Po środku pomieszczenia stał stół i kilka krzeseł. Nagle idący na przodzie Zack zatrzymał pochód. Przyłożył palec do ust i wskazał ręką na ostatnią pryzkę tuż przy opuszczonych drzwiach. Spał na niej mutant. Leżał na brzuchu, głową odwrócony w stronę ściany. Wszyscy przygotowali broń. Hardy, który zostawił swoje działo na zewnątrz bazy, przeładował strzelbę bojową. Na palcach podeszli do drzwi, celując w mutanta. Doktor Grey już sięgał do przycisku otwierającego przejście, gdy mutant chrapnął i odwrócił głowę. Przez chwilę oszołomiony patrzył nieprzytomnie na obcych ludzi. Nagle ryknął. Uczestnicy ekspedycji pociągnęli za spusty swych broni. Głowa mutanta przestała istnieć. On sam znieruchomiał. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Wtedy coś małego i czarnego wypadło z ogromnej dłoni zielonego stwora i poturlało się w kierunku doktora Greya.

- Uwaga! – krzyknął Hardy i szybko złapał czarną kulkę. Zamachnął się i rzucił w przeciwnym kierunku. Kulka odbiła się od ściany i wybuchła, wydając dziwny dźwięk, przypominający buzowanie prądu elektrycznego. Światówki nad miejscem wybuchu rozpadły się w drobny mak.

Wszyscy zamarli, zszokowani tym widokiem, ale i nieprawdopodobnym refleksem Bravera.

- Co to było?! – krzyknął Harold.

Hardy oddychał szybko.

- Wyglądało na granat – powiedział, wstając, – ale... nie wybuchł normalnie.

- To był granat pulsacyjny – wyjaśnił Richard.

Pozostali spojrzeli na niego. O znajomość broni jego akurat nie podejrzewali.

- Skąd to wiesz? – spytał Harold.

- Przed chwilą o tym czytaliśmy – odparł lekarz – w komputerze we wschodnim pomieszczeniu. Warto zwracać uwagę na takie rzeczy.

- Jak one działają? – spytał Hardy.

- Emitują silne pole magnetyczne i, mówiąc prosto, unieruchamiają wszystkie działające urządzenia elektryczne w swoim zasięgu. Gratuluję refleksu, Vincencie. Jego wybuch mógłby uszkodzić drzwi tak, że nie udałoby się nam przez nie przejść. Dobra robota.

Hardy uniósł brwi.

- Trochę nieświadomie – powiedział i spojrzął na traperę Zacka, który zaczął obszukiwać ciało mutanta. – Co ty robisz, Icereef?

- Taki sprzęt może być pomocny – odrzekł.

Mark podszedł do szafki stojącej przy pryzce zabitego mutanta. Otworzył ją i wyjął dwa granaty pulsacyjne.

- Macie rację, poszukajmy, może być ich więcej – powiedział doktor Grey.

Członkowie wyprawy zaczęli przeszukiwać schowki przy pryzkach. W sumie udało im się znaleźć sześć takich granatów.

- Dobrze, teraz broń w gotowości – rzekł Richard. – Idziemy dalej.

Grupa ustawiła się po obu bokach futryny. Doktor Grey nacisnął na płaski przycisk zwalniający. Drzwi zachrobotyły i podniosły się. Spojrzeli za nie. Było pusto.

Na kuckach przeszli przez przejście i ponownie skradając się tuż pod ścianą szli jeden za drugim. Było bardzo cicho. Nic nie wskazywało na obecność kogokolwiek. Na przeciwległej ścianie zobaczyli ogromny napis "Poziom 1" tuż nad dwoma dziwnie wyglądającymi urządzeniami.

Doszli do wejścia do pokoju po prawej stronie. Przeczytali tabliczkę informacyjną – "Sterownia. Tylko upoważniony personel". Zack spojrzął na doktora Greya, który kiwnął głową. Po chwili traper wychylił się ostrożnie zza węgła.

- Nikogo nie ma – szepnął.

- Wejźmy tam – odparł doktor Grey.

Po chwili wszyscy byli w środku pomieszczenia. Nie było zbyt przestronne, posiadało dwa wyjścia. Przeciwległe było zablokowane przez żółte pole siłowe. Pośrodku stał komputer, podobny do tego z pokoju na wschodzie. Doktor Grey podeszedł do terminala.

- Znów mamy szczęście – powiedział po chwili.

- Dlaczego? – spytał Harold.

- Do tego komputera trzeba się zalogować – odparł lekarz, – czyli mieć odpowiednie hasło. Na szczęście jest odblokowany. Zobaczmy... "Zabezpieczenia"... Dezaktywuj wszystko, tak... "Monitoring"... "Pola siłowe"... Zostawimy włączone... "Roboty"...

- Roboty?... – szepnęła Francine.

- Coś czuję, że te granaty mogą naprawdę nam się przydać – powiedział Harold.

- Wyłącz... – mówił dalej lekarz. – Okej, nic więcej tu nie ma. Nie jestem pewien czy to się odnosi tylko do tego poziomu, czy do całości. Musimy być ostrożni. Chodźmy dalej.

Wyszli ze sterowni i skręcili w prawo. Spojrzeli na urządzenia umieszczone pod tablicą z napisem "Poziom 1". Zaparło im dech w piersiach.

- Niesamowite... – powiedział lekarz.

Oglądali właśnie dwa prawdziwe roboty. Miały około pięciu stóp wysokości. Na ich szczycie widniały przezroczyste kopuły, które przykrywały żywe organy, przypominające ludzkie mózgi. Dwie rurowate kończyny, jakby macki wystające z połączanego korpusu dzierżyły po karabinie. Kilka diod migąło im na przednich panelach. Niewielki ekranik tuż pod kopułą wyświetlał napis: "Stan gotowości. Oczekiwanie na rozkaz". Doktor Grey przyglądał im się z niezwykłą uwagą i zdumieniem na twarzy.

- Niesłychana technologia – powiedział. – Nie myślałem, że te informacje są prawdziwe, ale wychodzi na to, że to autentyczny cyberorganizm...

- Co to znaczy? – spytał Mark.

- To znaczy, że ten robot jest sterowany przy pomocy ludzkiego mózgu – rzekł Richard. – To już nawet nie jest sztuczna inteligencja. To coś znacznie bardziej zaawansowanego... Nie myślałem, że kiedykolwiek spotkam coś podobnego.

- Richardzie, podejdź na moment – powiedział Harold stojący wraz z Zackiem obok zablokowanego żółtym polem siłowym przejścia po prawej stronie pomieszczenia. – To również jest niesamowite... i przerażające.

Uczestnicy ekspedycji podeszli do nich. Za polem siłowym zauważyli kilkunastu martwych mutantów, leżących w bezładzie, jakby śmierć przyszła na nich nagle i bezboleśnie.

- Co tu się stało?... – spytała Francine, zasłaniając usta.

- Nieudane eksperymenty von Feldena – odparł doktor Grey i pokręcił głową. – Biedni ludzie...

- Tu jest winda – powiedział nagle Hardy, wskazując ręką.

Podeszli do odgradzonego ścianą przejścia do elewatora. Stanęli przed rozsuwanymi drzwiami. Doktor Grey nacisnął przycisk w kształcie strzałki skierowanej w dół. Drzwi otwały się. Weszli do środka i spojrzeli na panel informacyjny:

"Poziom 1. Kwatery ochrony. Kwatery cywilów. Sterownia. Wyjście
Poziom 2. Kwatery oficerów. Zbrojownia. Szpital
Poziom 3. Kwatery naukowców. Sala zebrań. Dostęp do: Poziom 4, Kadzie"

- Dokąd teraz? – powiedział Harold, spoglądając na Richarda.

- Zastanówmy się – odrzekł lekarz. – Chcemy się dowiedzieć o mutacjach. Chyba możemy sobie odpuścić poziom drugi. Skierujmy się od razu na trzeci.

Pozostali wyrazili aprobatę.

- Gotowi?

Doktor Grey nacisnął przycisk na poziom trzeci. Winda ruszyła, jadąc powoli. Wskazówka na panelu informującym o jej pozycji wolno opuszczała "jedynekę", zbliżając się do cyfry dwa. Po chwili elewator zatrząsł się. Wyraźnie zaczął zwalniać.

- Co jest? – zapytał sam siebie Richard. – Czy ktoś nacisnął dwójkę?

Nikt nie przytaknął. Hardy, który stał tuż przy drzwiach przeładował strzelbę i odwrócił się przodem do nich. Winda stanęła. Drzwi otworzyły się.

Nikt nie zdążył wypowiedzieć nawet słowa, gdy rozległa się seria z karabinu automatycznego. Prawie wszyscy padli na podłogę. Mutant stojący na zewnątrz windy z wrzaskiem opróżnił magazynek, celując prosto w jedyne stojącego, Hardego. Kule zniszczyły świetlówkę w windzie. Richard z furią uderzał ręką w przycisk z wymalowaną cyfrą trzy. Drzwi w końcu zamknęły się. Zrobił się półmrok.

Hardy zachwiał się i przewrócił do tyłu. Zsunął się po podziurawionej jak sito ścianie windy. Doktor Grey złapał go za dłoń. Hardy ścisnął ją mocno. Wstrząsały nim drgawki. Patrzył na rany we własnej klatce piersiowej. Zakasłał i wypuł mnóstwo krwi. Spojrzał na Richarda. Po chwili Vincent Braver, zwany Hardym, przestał oddychać.

Rozdział XIII: Zły sen

- Doktorze... – jęknął ktoś obok półprzytomnego Richarda. Lekarz przez moment nie wiedział gdzie jest i co tutaj robi. Miał wrażenie, że przebudził się z koszmaru i jak zwykle siedzi w wygodnym fotelu w swoim gabinecie w The Hub. Pracował do późna, miał zwyczaj usypiać jeszcze w pracy.

Ale zły sen trwał nadal.

- Doktorze... proszę... – Richard poznał ten głos. To był traper Zack. Leżał tuż obok martwego Hardego. Lekarz spojrział na niego. Miał przestrelone lewe ramię. Szybko sięgnął do swojej niezastapionej torby i wyjął potrzebne medykamenty. Przemył ranę i założył opatrunek.

- Reszta cała? – zapytał cicho Richard.

- Chyba tak... – odparł Harold. – Mark? Francine?

- Nic nam nie jest – odrzekła dziewczyna, podobnie jak brat błyskając przerażonymi oczyma w zaciemnionym elewatorze.

Winda zatrzymała się na poziomie trzecim i stała tam już kilka minut. Doktor Grey jednak zablokował ją i nie pozwolił drzwiom na rozsuniecie się. Spojrzał na ciało Hardego.

- Wyciągnijmy go stąd... – szepnął.

- Niech pan poczeka – powiedział spocony i biały na twarzy Zack. – Oni mogą tam być. Rozsuńmy te drzwi ręcznie...

- Dobry pomysł – rzekł Harold. Razem z Markiem złapali za skrzydła drzwi i pociągnęli każdy w swoją stronę. Uchyliły się. Na zewnątrz było pusto. Pociągnęli jeszcze mocniej. Harold wychylił głowę i rozejrzał się.

- Możemy wychodzić – powiedział.

Wynieśli ciało Hardego na zewnątrz windy. Jego broń spoczęła obok niego. Doktor Grey ściągnął z siebie kurtkę i przykrył nią twarz Bravera. Chwilą skupienia oddali mu cześć.

Harold wyjrzał za róg dobudówki, którą otoczone było wejście do windy. Droga prowadziła na wprost i w lewo. Postanowili pójść prosto, jako że już stąd widać było koniec korytarza. Szli jak zawsze – jeden z drugim, chyłkiem, na palcach. Doszli do pustego, niewielkiego pomieszczenia po ich lewej stronie. Stał tam rozległy stół, zaśmiecony kolorowymi papierkami i rozgniecionymi puszkami po napojach. Rozglądali się po nim z zainteresowaniem. Nagle Zack schylił się i podniósł z ziemi jakiś przedmiot.

- Ładunek wybuchowy – powiedział. – Sprawny i gotowy do użycia.

- No tak, w końcu to "pokój zabaw" – skwitował Harold.

Opuścili pomieszczenie i udali się w stronę długiego korytarza, który zauważyli wychodząc z windy. Hol był naprawdę długi, sterylny i jasny jak cały kompleks. Doprowadził ich do bardzo rozległej hali. Była ogromna, aż dziw, że podziemna baza zdołała pomieścić w sobie tak wielką przestrzeń. Na przeciwległej ścianie zauważyli namalowanego ogromnego motyla, a pod nim słowo "MARIPOSA". Na prawo od herbu bazy wojskowej było przejście.

Obchodzili halę od strony, z której przyszli, czyli od zachodu. Nagle wszyscy zamarli. W korytarzu, na wschodzie pojawił się robot, taki sam, jakie widzieli na pierwszym poziomie bazy.

- Padnij!... – szepnął Mark.

Członkowie wyprawy zareagowali od razu. Obserwowali z daleka patrolującego robota. Powoli przesuwiał się on do końca korytarza. Obrócił się w ich stronę i rozejrzał się po hali. Najwidoczniej nie zauważył ekspedycji. Zawrócił i schował się za rogiem.

- Teraz, szybko! – powiedział Richard.

Wstali i podbiegli do wystającej ściany, stanowiącej przejście do pokoiów mieszkalnych naukowców, jak widniało na tablicy informacyjnej. Stanowiła ona odgródzenie od hali i tworzyła krótki korytarz do kwater. Oparli się o mur.

- Ten komputer na pierwszym poziomie zdjął zabezpieczenia, ale zdaje się, że tylko tam – powiedział Harold.

Doktor Grey kiwnął głową i westchnął.

- Chyba wiecie, co chcę wam powiedzieć... – rzekł cicho.

- Wiemy – odparł Harold i nie wiedzieć czemu uśmiechnął się. – Chcesz się dostać do korytarza, którego strzeże ten robot...

Richard spojrział na niego.

- Dostrzegłem... tam jest przejście do laboratorium, czy... jak to nazwać. Te "Kadzie". Jest tabliczka wskazująca.

- Też ją zauważyłem, przyjacielu – odrzekł Harold. – Tylko jak go załatwić...

- Mamy przecież te granaty elektryczne – powiedział Mark. – Może zrobimy z nich jakiś użytek?

- Poczekajmy i poobserwujmy go jak długi jest jego cykl przejścia korytarza – rzekł Zack. – To przecież maszyna. Jest raczej powtarzalna.

- Słusznie – odparł doktor Grey. – Jeżeli się to sprawdzi, możemy nawet spróbować rzucić granatem w ciemno. Mamy ich kilka.

- Ale jak to się uzbraja? – zapytał Harold.

Zack wyciągnął granaty z kieszeni. Obejrzel je dokładnie i zauważyli po środku jasnozielony przycisk.

- Myślę, że trzeba to wcisnąć przed rzutem – powiedział traper.

- Dobrze, a więc do dzieła – rzekł Richard.

Doktor Grey wychylił się zza węgła i poczekał na mechanicznego strażnika. Zaczął liczyć czas. Jego patrol odbywał się dokładnie w ten sam sposób, co kilka minut wcześniej. Dla pewności lekarz powtórzył pomiar jeszcze dwukrotnie. Za każdym razem wynik był bardzo zbliżony, niemal identyczny. Gdy robot schował się w korytarzu Richard szepnął:

- W gotowości!...

Ustalili, że Mark rzuci granatem. Kilka sekund później Richard powiedział:

- Uwaga!...

Robot pojawił się w przejściu. Po chwili zawrócił.

- Teraz!

Mark wychylił się i rzucił z całej siły w stronę chowającego się za rogiem robota. Padł na ziemię. Granat uderzył w ścianę, wydał z siebie dźwięk, słyszany przez nich już wcześniej, i rozpadł się. Rozległ się pojedynczy strzał. Po chwili zauważyli strzelające zza węgła iskry. Odczekali kilka chwil.

- Powinien już powtarzać swój patrol – powiedział doktor Grey. – Myślę, że jest uszkodzony.

Wstał, a za nim reszta jego ekspedycji. Ostrożnie udali się w kierunku korytarza na wschodzie. Gdy dotarli na miejsce zauważyli robota w nienaturalnej pozycji, z kopułą z ludzkim mózgiem pochyloną do przodu. Przedziurawiony pancerz iskrzył się, a karabin, który dzierżył w mechanicznych mackach miał skierowany na wprost. Zack podszedł do niego na krok i szturchnął go kolbą swojej broni. Robot zachwiał się i przewrócił.

Odetchnęli z ulgą i zaczęli obchodzić robota. Nagle wydał on z siebie dziwny dźwięk. Ekspedycja zatrzymała się. Robot nagle wyprostował się i szybko obrócił w lewo. Zatrzymał się i wycelował w Marka. Rozległ się strzał. Mark padł na ziemię. Francine krzyknęła.

- Padnij! – wrzasnął Harold i pociągnął stojących obok niego Richarda i Francine ku ziemi. Zack przyłożył strzelbę do kopuły na szczycie robota i wystrzelił kilka razy. Wrzasnął z bólu i upuścił broń, jej odrzut ugodził go w zranione ramię. Ludzki mózg w robocie został rozerwany. Maszyna zakręciła się wokół własnej osi i przełamała się, upadając na podłogę, przygniatając strzelbę Zacka i rozlewając wokół czarną maź. Tym razem już na pewno został unicestwiony.

Doktor Grey podpełzł do Marka, który trzymał się za udo. Mocno krwawiło.

- Przytrzymajcie go! – zwrócił się do Harolda, Zacka i Francine. – Muszę wyjąć kulę. Mark, to będzie bolało, weź to – włożył mu do ust kilka owiniętych w bandaż drewniaków, służących do badania gardła. Pozostali trzymali go za ręce i nogi.

Mark patrzył się z przerażeniem, jak siedzący na nim okrakiem doktor Grey rozrywa mu zakrwawione spodnie. W dłoniach trzymał ogromne szczypce. Lekarz

przemył mu nogę oraz narzędzie pracy i zatopił je w ranie. Mark wyprężył się i wrzasnął z bólu, po chwili zemdlał. Doktor Grey wyciągnął kulę i odrzucił ją na bok. Ponownie zdezynfekował udo Marka, zabandażował i zabezpieczył je, podał mu sole trzeźwiące. Chłopak ocknął się.

- Już dobrze... – szeptała mu do ucha jego siostra, – już dobrze...

Richard odetchnął i wytarł ręce w sterylną szmatkę. Spojrzał na półprzytomnego Marka.

- On nie da rady iść z nami dalej – rzekł. – Musi wracać.

- Ale jak? Przecież na drugim poziomie stoi zielony gnój i czeka na jadącą windę – spytał Harold.

Doktor Grey nie odpowiedział. Zrobił to Zack.

- Ja sobie z nim poradzę – wydyszał.

Pozostali spojrzeli na niego. Traper pokazał im wiązkę dynamitu, którą najwidoczniej zabrał z "Pokoju zabaw" na tym poziomie.

- Podrzuć to? Jak? – zapytał karawaniarz.

- Razem z sobą – odparł krótko Icereef.

Doktor Grey zaczął gwałtownie kręcić głową.

- Nie! Żadnej kolejnej śmierci! Nie zgadzam się!...

- Nie ma innego wyjścia, doktorze – przerwał mu Zack.

- Nie!!!

- Doktorze, brałem to pod uwagę od samego początku tej ekspedycji. Jeśli będzie trzeba, to zginę w imię słusznej sprawy. Nie boję się. Nikt inny nie może tego zrobić... Ani pan, ani Harold, ani rodzeństwo. Tylko ja nie spanikuję. Moja broń jest zniszczona, a ja jestem ranny, mogę się już nie wylizać. Wy musicie żyć... żeby zapobiec dalszemu tworzeniu się tych potworów. Zniszczcie to wszystko. I żyćcie... Tylko ja mogę to zrobić...

Doktor Grey patrzył na niego przez łyzy. Po chwili jednak wytarł je i kiwnął głową.

- Niech będzie.

Razem z Haroldem złapali Marka za ramiona i wspólnie zaczęli iść w stronę windy. W głowach mieli kompletne pustki. Dotarli na miejsce znacznie wcześniej niż się spodziewali. Oparli Marka o ścianę. Zack podszedł do otwartej windy. Był blady, ale zdecydowany. Odwrócił się w stronę stojących Harolda, Francine oraz Richarda i powiedział:

- Udam martwego. Może mutant wyniesie mnie na zewnątrz. Odpalę ładunek, gdy będę daleko od windy.

Wszedł do elewatora. Spojrzał w oczy doktorowi Greyowi.

- To był zaszczyt.

Uderzył w przycisk z numerem dwa. Drzwi zamknęły się.

*

Winda ruszyła do góry. Zack położył się na podłodze twarzą ku ziemi. Po chwili elewator zatrząsł się i zwolnił. Drzwi otworzyły się. Od razu rozległy się strzały, które ugodziły w ściankę windy. Mutant wydał z siebie pomruk zdziwienia i wszedł do środka. Chwył leżącego Zacka i jedną, ogromną łapą podniósł go do góry. Po chwili upuścił go z powrotem na ziemię i obrócił się do wyjścia. Zack poczuł nagły przyływ adrenaliny. Błyskawicznie podniósł się. Uderzył w przycisk z napisem trzy i wybiegł z windy, nim drzwi się zamknęły. Mutant nie spostrzegł go. Stał zdezorientowany. Zack podbiegł do ściany z lewej strony przybudówki wokół windy. Nie mógł jej opuścić ze względu na zagradzające mu drogę pole siłowe. Szybko ustawił najmniejszą ilość

czasu na detonatorze ładunku. Winda ruszyła na dół. Zack krzyknął coś w kierunku mutanta. Ten wycelował w niego i wystrzelił całą serię pocisków, godząc prosto w tors trapera. Icereef osunął się na ziemię, pozostawiając na białej ścianie pionowy ślad krwi. Mutant podszedł do niego i nachylił się, by zbadać, co mały człowieczek trzyma w dłoniach. Ładunek eksplodował. Pozbawiony głowy i większej części torsu zielony potwór upadł, przygniatając rozszarpane ciało Zacka.

*

Potężny wybuch wstrząsnął sufitem, pod którym klęczeli Richard, Harold, Mark i Francine. Wiedzieli, że Zacka już nie ma, że poświęcił się dla nich, by mogli opuścić bazę. Jednak trzeba było się upewnić.

Harold i doktor Grey podeszli do windy, która właśnie zjechała na ich poziom. Weszli do niej. Wydawała się nienaruszona. Harold nacisnął przycisk z numerem dwa. Po chwili drzwi otwały się. Spojrzeli przez nie. Panował straszny odór. Wszędzie było mnóstwo krwi i strzępów porozrywanego ciała mutanta. Spod jego ogromnego cielska wystawały jedynie nogi trapera. Przyjaciołom zaszkliły się łzy w oczach. Nie zwrócili już większej uwagi na niemal nienaruszoną konstrukcję bazy w miejscu wybuchu i migotające pole siłowe. Wrócili na poziom trzeci.

Mark doszedł już do siebie. Francine właśnie pomagała mu wstać. Na słowa doktora Greya o jego powrocie na powierzchnię zareagował gwałtownie. Harold i Francine próbowali go uspokoić, ale nie dawało to większych rezultatów. W końcu zareagował Richard.

- Mark, przepraszam, że muszę tak to ująć, ale będziesz stanowił dla nas ciężar – powiedział spokojnie. – Zrozum. To dla twojego, ale i naszego dobra. A może przede wszystkim dla naszego. Postaw siebie na naszym miejscu. Chciałbyś zmagać się jednocześnie z mutantami, robotami i rannym partnerem, którego trzeba osłaniać? Teraz każdy chroni siebie, jest nas mało.

- Niech i moja siostra idzie ze mną – powiedział.

- Nie, Mark – odparła Francine. – Muszę pomóc wujowi Haroldowi i panu doktorowi.

Harold nie zaprotestował, a Mark chyba zrozumiał. Oddał mu swoją broń. Siostra rzuciła mu się na szyję.

- Bądź ostrożny – szepnęła, połykając łzy.

- Masz odblokowane przejście do poziomu pierwszego – powiedział Harold. – Uważaj na siebie. Niedługo się spotkamy.

Mark wszedł do windy i rzucił w ich kierunku ostatnie spojrzenie. Po chwili winda ruszyła.

Harold, Francine i doktor Grey udali się do korytarza na wschodzie. Obeszli zniszczonego robota i doszli do miejsca, gdzie hol zakręcał w prawą stronę. Usłyszeli dziwny, mechaniczny dźwięk. Domyślili się, co to może być.

- Jest jeszcze jeden – szepnął Harold. – Macie jeszcze granaty? Ja mam dwa.

- Ja też – odrzekła Francine.

- Było sześć... Jeden musiał zostać przy Zacku.

- Ale dlaczego robot nie ruszył do nas, gdy rozwalaliśmy tamtego? – spytała dziewczyna.

- Myślę, że jest zaprogramowany, żeby czegoś strzec – odpowiedział doktor Grey. – To może być dostęp do laboratorium.

- No cóż, tak czy owak musimy go unieruchomić – odrzekł Harold i wyjął z kieszeni granat. – Gotowi?

Richard i Francine kiwnęli głowami i kucnęli opodal wraku zniszczonego wcześniej robota. Harold wcisnął przycisk na granacie, pochylił się i wystawił dłoń za róg, by przeturlać oręż w stronę robota. Gdy jednak to zrobił, rozległa się seria z karabinu automatycznego. Harold cofnął rękę i spojrzął na parę siedzącą opodal.

- Rzuć to! – krzyknął Richard.

Harold zorientował się, że wciąż dzierży uzbrojony granat. Rzucił przed siebie. Granat wybuchł po dobieciu się od ściany. Światła nad nimi przestały działać.

- Cholera! – krzyknął karawaniarz. – Nic wam nie jest?

- Nie... – odparł doktor Grey, wstając. – Trzeba odwrócić jego uwagę.

Harold przetrząsnął kieszenie w poszukiwaniu drugiego granatu.

- Gdzie jest?... – zaczął, ale zaraz spostrzegł, że ten przeturlał się pod ścianę naprzeciwko. Musiał mu wypaść z kieszeni. Był teraz w zasięgu pola widzenia robota.

- Masz te – powiedziała Francine, podając mu dwa granaty. W tym czasie doktor Grey oderwał kawał części ze zniszczonego wcześniej strażnika.

- Zrobimy tak – rzekł. – Ja rzucę to, żeby skierować jego uwagę w drugą stronę, a w tym czasie ty podrzucisz mu granat.

Harold kiwnął głową. Kucnął tak jak chwilę temu, chwytając w dłoń granat. Richard stanął obok niego.

- Gotowy? Odbezpiecz...

Harold uzbroił granat. Richard rzucił przed siebie kawał blachy. Rozległy się strzały. Harold rzucił granat. Po chwili usłyszeli znajomy dźwięk wybuchu broni pulsacyjnej. Strzały ustały. Doktor Grey wychylił się zza węgła. Robot był zniszczony.

- Droga wolna – powiedział.

Harold zgarnął spod ściany leżący granat i podeszli do windy. Richard nacisnął przycisk ze strzałką skierowaną ku dołowi. Nic się jednak nie stało. Lekarz uderzył ponownie w guzik. Po chwili walnął się w czoło otwartą dłonią.

- Przecież to też jest urządzenie elektryczne – rzekł cicho i przetarł twarz. – Niszcząc robota, zniszczyliśmy też windę.

Harold potrząsnął głową z niedowierzaniem. Francine powiedziała:

- Ale są jeszcze te... pokoje naukowców. Może tam też jest jakaś winda?

Richard westchnął.

- Nic innego nam nie pozostaje.

Ruszyli z powrotem. Przeszli halę z ogromnym motylem i doszli do korytarza, nad którym tablica głosiła: "Kwatery naukowców". Upewnili się, że przejście jest możliwe i weszli do kolejnego holu. Minęli kilka poodgradzanych od siebie, obszernych pokoi i doszli do końca korytarza. Wyrzegli za róg. Nic nie stało im na przeszkodzie. Zauważyli windę. Harold uśmiechnął się do Francine. Doktor Grey nacisnął guzik, obok którego napisane było "Do poziomu czwartego". Weszli do windy i zjechali na dół.

Na poziomie czwartym na szczęście nie czekały ich żadne niespodzianki. Rozejrzeli się wokół. Po lewej stronie widniało zablokowane przejście do "Kwater starszych naukowców". Na prawo zauważyli bardzo długi i szeroki korytarz. Zaczęli ostrożnie iść holem. Doszli do zakrętu w prawo. Postanowili jednak rozejrzeć się w pomieszczeniu oznaczonym tabliczką "Kontrola kadzi. Bazy danych. Tylko upoważniony personel". Nie było zablokowane ani polem siłowym, ani nawet drzwiami. Weszli do środka. Po przeciwległej stronie zauważyli ogromny, przeszkłony

otwór. Ich uszu dobiegł jakiś szum. Minęli kilkanaście komputerów, podobnych do tych, jakie widzieli na poziomie pierwszym. Szum nasilił się. Doszli do szyby i zamarli.

Widok był przerażająco imponujący. Trzy ogromnej wielkości balie, wypełnione zielonkawą substancją otaczały podest. Był on rozgałęziony w trzy strony. Pośrodku stało mechaniczne ramię o zasięgu dokładnie do gigantycznych kadzi. Zauważyli również klatki nad każdą z monstrualnych bek. Metalowe boksy były umieszczone w zawieszanej pod stropem sieci przewodnic i miały dostęp do każdego miejsca w ogromnej hali. Jedna z żeliwnych alejek chowała się pod nimi. Pozostałe skierowane były na północ do "Laboratorium I" oraz na zachód. Nie mogli jednak dojrzeć, jak oznaczone było to pomieszczenie. Na ścianie po prawej stronie widniało kilka monitorów. Wszędzie było mnóstwo porozwieszanych kabli i kilka kamer.

Minęło kilka minut zanim otrząsnęli się z wrażenia. Nie wyobrażali sobie, że człowiek jest w stanie wybudować coś tak fatalistycznego. Doktor Grey podszedł do konsoli na swego rodzaju piedestale. Zdawało się, że ten komputer jest sterującym. Pracował bez przerwy, diody migotały na nim, wydawał ciche piski. Richard stuknął w klawisze. Nic się jednak nie stało. Poruszał niewielką dźwignią – też nic. Zauważył kluczyk. Umieszczony był w stacyjce z napisem "Włącz/Wyłącz". Przekręcił go. Dopiero teraz monitor się rozjaśnił. Zaczął przeglądać zasoby, jednak do większości nie miał dostępu. W końcu natrafił na opcję "Przeszukiwanie zapisów". Doktor Grey wybrał z krótkiej listy nazwisko Maxson. Komputer zaczął głośno odtwarzać zarejestrowany głos.

Mowa kapitana Maxsona była wyraźna i spokojna, czasami aż za bardzo, zwłaszcza, gdy wspominał o mordowaniu naukowców. I mimo tego, co mówił Zack, czuło się, że nie był to do końca zły człowiek. Na pewno chciał dobrze dla swych podwładnych, rodziny, przyjaciół, a żeby tego dokonać musiał robić to, co czynił. Zabił von Feldena Seniora w słusznej sprawie, to samo uczynił z pozostałymi. Być może Zack przesadził nieco w jego opisie, być może usłyszał wyrwane z kontekstu słowa i zinterpretował je po swojemu, w końcu był wówczas tylko dzieckiem. Tego doktor Grey, Harold i Francine już nigdy się nie dowiedzą.

Żołnierz powiedział tylko jedną rzecz nieco innym, jakby błagalnym, łamiącym się głosem: "Czym ja się stałem?". To pytanie mógł sobie wtedy zadać każdy uczestnik ekspedycji, ten, który żył lub który żyłby. Niewątpliwie wyprawa zmieniła ich życie, a wielu go pozbawiła. Na twarzach jej żyjących członków malowało się takie właśnie pytanie: kim zostaną lub zostaliby ci, którzy odeszli, po jej zakończeniu?

Doktor Grey próbował odtworzyć inne dzienniki, jednak zapiski naukowców nie otwierały się, a pamiętnik Paula von Feldena Juniora, uruchomiwszy się jedynie na moment, po chwili zamilkł i zniknął z listy. Lekarz ominął opcję uruchomienia alarmu i wybrał jeszcze polecenie: "Uruchom procedurę", jednak zaniechał i tego, gdyż na monitorze wyświetliło się kilkanaście zakodowanych pozycji do wyboru. Nie chcąc czynić niczego pochopnie, rzekł:

- Poszukajmy zejścia do tego pomieszczenia – wskazał na szybę, za którą malowały się ogromne kadzie z zielonkawym płynem. – Tam jest rozwiązanie i cel naszej ekspedycji.

Opuścili pokój kontrolny wyjściem na południu i skierowali się w lewo. Długi korytarz rozgałęział się w prawo po kilkunastu metrach. Postanowili na razie udać się prosto, gdyż już widzieli przed sobą koniec holu. Doszli do drzwi wejściowych do pokoju, nad którym widniał podświetlony na czerwono napis "ŚCIŚLE TAJNE".

Niemal naprzeciwko pomieszczenia umiejscowiony był rozległy gabinet. Na ścianie widniała od ręcznie nabazgrana inskrypcja "Paul von Felden Jr". Tuż pod nim leżała roztrzaskana tabliczka z prawowitym dowódcą bazy wojskowej Mariposa – "Kpt. R. Maxson". Obeszli zaniedbany pokój. Doktor Grey podszedł do biurka i szybko przejrzał kilka pozostawionych na nim papierów. Nie znalazł w nich jednak niczego wartościowego. Po chwili zaś zrzucił je blatu, odsłaniając wyryte w powierzchni metalowego mebla złowrogie słowa: "Zabić Kpt Maxxona".

Opuścili kwatery dowództwa i skierowali się do pokoju oznaczonego tablicą "ŚCIŚLE TAJNE". Nie był obszerny, był zaciemniony, sprawiał wrażenie pozostawionego i opuszczonego, jakby nikt dawno tutaj nie zaglądał. Wyróżniał się tu komputer, ustawiony naprzeciw wejścia i trzy otaczające go roboty. Dwa z nich były identyczne jak strażnicy, których spotkali poziom wyżej. Jednak jeden był kompletnie różny, choć jego osłona również miała złotawy kolor. Był mniejszy, posiadał dużą "głowę", osadzoną na stosunkowo cienkiej, zakrzywionej rurze. Rura zaś łączyła się z podstawą, z której wystawał ostro zakończony pał, przypominający bagnet. Wydał im się mechanicznym, *zabijającym* kwiatem.

Ich widok, a zwłaszcza owego nowego robota, zatrwożył członków wyprawy, jednak maszyny wydawały się nieaktywne.

- Zaczekajcie – szepnął Richard do Harolda i Francine.

Doktor Grey zaczął powoli iść ku konsoli. Jego przyjaciele wstrzymali oddech. Skradał się na palcach, nie wydobywając najcichszego szmeru. W końcu dotarł do robota najbliższego, jednego z dwóch z kopułą z ludzkim mózgiem. Pomachał dłonią przed słabo jarzącą się czerwoną lampką, chyba sensorem ruchu. Nagle szturchnął robota. Francine wpiła się paznokciami w ramię Harolda. Doktor Grey wyprostował się i skinął do nich ręką.

- Wydaje się, że są wyłączone – powiedział już normalnym głosem.

Harold i jego ciemnoskóra podopieczna podszedli do Richarda, który już stał przy terminalu.

- Ciekawe, jakie też tajemnice skrywa w sobie ten komputer – powiedział cicho.

- Oby takie, jak zniszczyć to ustrojstwo – odparł Harold, rozglądając się dokoła. Zaiste *niepokojącą* była atmosfera tego pokoju.

Doktor Grey zaczął stukać w klawisze. Co chwilę jednak jego wysiłki niweczyły krótki, przenikliwy dźwięk.

- Potrzebujemy hasła – powiedział nagle. – Akustycznego, czyli jakiegoś wypowiedzanego słowa. Jakieś propozycje?

- Może... "spadajmy stąd"? – odrzekł Harold.

- Mutant – powiedział głośno doktor Grey.

Komputer wydał z siebie znajomy piskliwy odgłos, a na ekranie pojawił się napis: "Błąd. Brak dostępu".

- Paul von Felden – kontynuował lekarz.

Znów błąd.

- FEV.

Nic.

- Mariposa – zasugerowała Francine.

- Nie, to też nie – odrzekł doktor Grey. – Może nie tędy droga... Spróbujmy inaczej: zemsta.

Ponownie błąd.

- Hmm... ojciec.

- Czekał, a co było napisane na tym biurku? – spytał Harold po kolejnym dźwięku sygnalizującym niewłaściwe hasło.

- "Zabić kapitana Maxsona".

- Hasło poprawne. Dostęp do wszystkich opcji możliwy. Witam, doktorze von Felden – powiedziała maszyna.

Harold wyszczerzył zęby.

- Hehe, ma się ten łeb, co? – powiedział uradowany.

Doktor Grey zaczął przeszukiwać zasoby komputera. Po kilku minutach powiedział:

- Są. Eksperymenty von Feldena.

Uruchomił zarejestrowany dziennik, podobny do tego w pokoju kontrolnym. Niski głos, bardzo podobny do zmutowanego, jaki usłyszeli kilka godzin temu od jego właściciela zanim został zgładzony, powrócił do nich ze słowami:

"Ja, Paul von Felden Junior, syn wielkiego naukowca, bestialsko zamordowanego przez żołnierzy wojska amerykańskiego, niniejszym zaczynam prowadzić ten dziennik ku potomości i pamięci tego, co zamierzam uczynić. Prace mojego wspaniałego ojca, tak potrzebne ludzkości, zostały kompletnie niezrozumiane. Ja zamierzam w jego imieniu i ku jego czci kontynuować badania, które rozpoczął..."

Szum i trzaski przerwały nagle zarejestrowaną wypowiedź. Po kilku chwilach powróciła. Głos von Feldena znacznie bardziej przypominał ten, który mieli okazję już usłyszeć.

"Pierwszy eksperyment z użyciem wirusa przeprowadziłem na sobie. Nie zraził mnie okropny ból. To dla ojca. Stałem się nieznośnym dla oka potworem i zapewne pozostali również tacy będą. Ale w niczym to nie przeszkadza. To dla ojca! Wystarczyło zaledwie kilkanaście mililitrów dożylniej aplikacji. Zobaczymy, co stanie się po zwiększeniu dawki. Żona doktora Andersona będzie moim kolejnym obiektem. Poświęcenia są nieuniknione, nawet te przymusowe..."

Ponownie na moment nagranie ucichło, oddając miejsca krótkim, rwanym sygnałom. Wyglądało to tak, jakby ktoś edytował zarejestrowaną wcześniej większą porcję materiału, wybierając wedle uznania konkretne fragmenty.

"Dziecko Andersona dołączyło do swej matki. Najwyraźniej byli za słabi, tato. Po aplikacji wirusa na sobie, skupię się na innych obiektach, tych wyglądających na zdrowsze i bardziej wytrzymałe..."

Podczas kolejnej ciszy Richardowi wydało się, jakby jeden z robotów nagle poruszył rurowatą kończyną. Wbił w niego wzrok na kilka chwil, ale ten ani drgnął. Nagranie było w bardzo słabej jakości, ledwo można było usłyszeć słowa mutanta.

"...kolejny eksperyment. Skrzyżuję zwierzę znalezione na zewnątrz bazy z żoną doktora... jakby wyglądała z głową szczura... ha ha ha, dobre, prawda tato?..."

- Cholerny szaleniec!... – powiedział cicho Harold.

- Do czego on dążył? – zastanawiał się doktor Grey. – Po co mu to było?

- "Dla ojca" – zacytował przyjaciel usłyszane wcześniej słowa.

"Jestem silniejszy i potężniejszy od każdego ze znanych mi stworzeń, ojcie. Ludzie są niczym wobec mojej siły i inteligencji. Dlaczego jednak inni jej nie dziedziczą, ojcie? Wyobrażam sobie armię mych nadinteligentnych sobowtórów. Nawet kapitan Maxson drżałby przed nami, ojcie. Tymczasem nieudane eksperymenty do skasowania lub wygnania. Pozostanie nas jedynie garstka..."

Kolejna cisza w nagraniu była jak dotąd najdłuższa, ale po niej nagranie było najczystsze i najbardziej wyraźne, choć z początku ucięte.

"...zabezpieczona, miny rozstawione przy południowym wyjściu ewakuacyjnym, tak jak rozkazałeś. Masz rację, uwięzieni z poziomu pierwszego zostaną przeznaczeni do konsumpcji. Chyba został znaleziony sposób na zwiększenie ich inteligencji. To twój pomysł, ojcie, większe dawki. Pomyślę nad twoją sugestią

eksperymentów na przybyszach. Wkrótce kapitan Maxson odczuje naszą zemstę. Pomścimy cię, ojczyźnie..."

Nagle doktor Grey poczuł jak coś zimnego dotyka jego dłoni. Odwrócił się i zobaczył jednego z robotów, który podjechał do niego i próbował sięgnąć go mechanicznymi mackami.

- Co się... – nie dokończył. Pisk Francine rozdarł ciszę tajnego pokoju. Robot w kształcie kwiatu nagle z impetem podjechał do ściany i przygwoździł bezbronną dziewczynę..

- Puszczaj ją, bydlaku! – wrzasnął Harold, podbiegając do robotą i tłukąc go bronią Marka. Richard ruszył na ratunek. Drugi żółty robot złapał go jednak za kostki. Lekarz runął na ziemię.

- Haroldzie, uważaj! – krzyknął.

Harold nie usłyszał. Wciąż uderzał kolbą strzelby po kopule tego odmiennego, na którym nie robiło to żadnego wrażenia. Francine była unieruchomiona. Tymczasem kolejna maszyna podpełzła do karawaniarza i owinęła swoje kończyny wokół jego kolan. Odciągnęła Harolda do tyłu, przewracając go na podłogę i pozbawiając oręża. Richard również nie mógł się uwolnić. Robot włókł go po posadzce w stronę Francine. Zdołał sięgnąć karabinu.

- Wal w tamtego! – Harold pokazał w stronę robota trzymającego w uchwycie dziewczynę.

Richard niewiele myśląc pociągnął za spust. Kula utkwiała w robocie, który skierował sensor w stronę lekarza. Nagle z powrotem odwrócił się i wbił wystający z podstawy pał prosto w brzuch Francine. Harold wrzasnął. Richard również. Dziewczyna zatrzęsła się i wypłuła brunatną krew na kopulę robota. Ten wyciągnął oręż z ciała Francine i upuścił ją. Runęła bezwładnie na podłogę. Obaj przyjaciele szlochali, krzycząc z bezsilności. Roboty ponownie zaczęły ich zaciągać tym razem w jedno miejsce pośrodku sali.

- Haroldzie, granaty! – ryknął nagle Richard.

Harold sięgnął granatu.

- Odpalaj, szybko! – krzyknął.

- A co z nami?!

Roboty ustawiły się obok siebie, unosząc Harolda i Richarda za nogi w górę. Ten z wbudowanym bagnetem stanął przed nimi szykując się do egzekucji intruzów.

- Szybko, bo zginiemy! – wrzasnął lekarz.

Harold już się nie zawahał. Nacisnął przyciska na granacie i z całej siły rzucił nim o podłogę. Granat eksplodował. Roboty wypuściły z macek Harolda i Richarda. Zakręciły się wokół własnej osi. Nagle wszystkim maszynom eksplodowały kopuły i przestały się ruszać. Światło w bazie zgasło całkowicie.

Richard ocknął się. Zdawało mu się, że usłyszał jakiś dźwięk, choć mogło być to jedynie w jego wyobraźni. Gdy otworzył oczy, z powrotem było jasno. Harold klęczał nad martwym ciałem Francine. Łzy obficie skapywały mu po twarzy wprost na zaplecione w warkoczyki, czarne włosy dziewczyny. Lekarz podszedł do niego i objął. Obaj przyjaciele płakali jak dzieci.

- To wszystko moja wina!... – łkał Harold. – Moja sakramencka wina... Po co ja się zgodziłem, żeby z nami poszli?... Po co?...

Richard milczał. Brakowało mu słów, by wyrazić ból jaki odczuwał. Był załamany, podobnie, jak jego kompan. Harold spuścił głowę. Nagle jednak wstał. Tak energicznie, że doktor Grey popatrzył na niego ze zdumieniem.

- Musimy jak najszybciej odnaleźć wejście do tych wielkich beczek – powiedział zdecydowanie, ocierając łzy z twarzy. – Nie mamy na co czekać. Mark jest ranny, może mu się pogorszyć... I musimy stąd zabrać ich ciała. Richardzie, słyszysz mnie?

Doktor Grey spoglądał na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Wstawaj, przyjacielu, nie ma czasu do stracenia!

Richard kiwnął głową. Wstał i szybko podszedł do komputera.

- Może tutaj coś będzie – powiedział, pospiesznie uderzając w klawisze. – Jak się tam dostać, albo... Mój Boże... – nagle przerwał.

Harold podszedł do niego i spojrzął na monitor. Wyświetlany był podgląd z kamery umieszczonej w ogromnej hali z kadziami wypełnionymi mutagennym wirusem. Kamera obracała się w poziomie ukazując im ogromną halę w niemal całej okazałości. Nagle oczom młodego handlarza ukazał się widok, który zmroził mu krew w żyłach. W klatce zawieszanej na pewno kilka metrów nad ziemią, tuż obok dźwigu ustawionego przy ogromnej bani, zauważyli dwoje żywych ludzi.

Richard i Harold spojrzeli po sobie.

- Myślisz, że może być ich tutaj więcej? – zapytał karawaniarz.

- Oby nie – odrzekł lekarz. – Trzeba ich uratować. Koniecznie – dodał i ponownie zaczął przeszukiwać dane w terminalu. Nagle krzyknął uradowany:

- Jest plan! Zaraz, zaraz... Tak! To zaraz obok! Chodźmy!

Obaj podbiegli do wyjścia z tajnego pokoju. Spojrzeli jeszcze na ciało Francine.

- Niedługo wrócimy, słoneczko – szepnął Harold.

Richard pociągnął go za ramię i opuścili gabinet. Skierowali się w prawo, a następnie w lewo w wąski korytarz. Doszli do jego końca, gdzie znajdowała się winda. Sprawiała wrażenie zaniedbanej. Nie była oznaczona żadną informacją na temat tego, dokąd prowadzi. Doktor Grey nacisnął czerwony przycisk na ścianie. Drzwi elewatora rozsunęły się. Obaj weszli do środka. Zauważyli, że posiada ona jeszcze jedno wejście, na przeciw tego, z którego właśnie skorzystali. Obok niego, na panelu były dwa przyciski – jeden oznaczony strzałką w dół i jeden z namalowanym symbolem, przypominającym głośnik. Harold spojrzął na Richarda i westchnął.

- Gotowy? – zapytał.

Doktor Grey skinął głową. Harold nacisnął przycisk ze strzałką. Drzwi powoli zasunęły się. Winda zatrzęsała się i ruszyła w dół z cichym warkotem. Jechali tak nią kilka chwil w milczeniu, gdy nagle Harold zapytał:

- Skąd wiedziałeś, że granat nie wyrzuci nam szkody?

Doktor Grey wzruszył ramionami i uśmiechnął się blado:

- Nazwijmy to instynktem – odrzekł.

Harold skinął głową. Winda trzęsała się i warczała. Po chwili karawaniarz, spoglądając na podłogę, ponownie się odezwał:

- Wiesz, tylko raz podczas tej wyprawy poczułem prawdziwy strach.

Lekarz spojrzął na niego. Harold podniósł wzrok i skierował na przyjaciela.

- Wtedy, gdy powiedziałeś, że nie wiesz, co dalej robić – rzekł. – Czy iść, czy wracać? Czy szukać dalej, czy odpuścić? Właśnie wtedy, trzydziestego dnia naszej podróży.

- Nie rozumiem... – zdziwił się Richard. – Co było w tym tak szczególnego, że tak dobrze to zapamiętałeś? I czym cię tak przestraszyłem, bo jak mniemam to właśnie ja byłem powodem twojej trwogi.

- Wtedy po raz pierwszy usłyszałem od ciebie słowa "nie wiem" – odrzekł Harold.

- Nigdy wcześniej tego nie powiedziałeś...

Doktor Grey zrozumiał go i był mu ogromnie wdzięczny. Wyciągnął dłoń i powiedział:

- Przyjaciele, choćby... nie wiem co!... – uśmiechnął się.

Harold skinął głową i wyszczerzył zęby. Wymienił z nim uścisk dłoni. Winda głuchym turkotem oznajmiała, że kończy swój bieg. Po raz ostatni zatrzęsała się i zatrzymała.

Rozdział XIV: Fabryka mutantów

- Czemu się nie otwierają? – spytał Harold po dłuższej chwili oczekiwania.

Richard wzruszył ramionami.

- Może trzeba nacisnąć któryś z tych przycisków – wskazał na panel.

- Ale który? – zastanowił się Harold. – Ponownie ten ze strzałkami?

Doktor Grey spojrział na oba guziki na ścianie windy. Nagle zrozumiał.

- Tu znów potrzebne jest hasło – powiedział, – tak jak przy tym komputerze.

Widzisz, tu jest namalowany głośnik. Trzeba wcisnąć i powiedzieć. Spróbujmy – Richard zbliżył się do panelu i pomyślał: - Mmm... Paul von Felden.

Drzwi elewatora pozostały zamknięte.

- Jak to było... Aha: zabić kapitana Maxsona.

Zero reakcji.

- Zemsta.

Nic.

- Mariposa.

I ponownie nic. Próbowali tak przez kilka minut. W końcu Harold zdenerwował się i uderzył pięścią w przyciski.

- Otwieraj się, cholerny złomie! – krzyknął.

Winda zatrzęsała się lekko, drzwi zachrobotyły i powoli zaczęły się rozsuwać. Harold spojrział na Richarda.

- Widać nie trzeba było daleko szukać... – nie dokończył zdania.

Nagle coś z ciemnego korytarza błyskawicznie wyciągnęło go z windy i zaczęło szybko przemieszczać się w stronę widocznego w oddali bladego światła. Lekarz nie zdążył nawet krzyknąć. Harold wybiegł za nim.

- Richardzie, Richardzie!

- To jest robot! – dobiegł go głos doktora.

Harold nie stracił głowy. Biegając wyciągnął z kieszeni ostatni granat pulsacyjny. Richard unieruchomiony przez ogromną, czarną maszynę z kilkoma mechanicznymi odnóżami i wielką kulą, będącą chyba jej mózgiem, upstrzoną mnóstwem kolorowych diod, pojawił się w świetle lamp. Znajdował się na łączeniu metalowych chodników z wysięgnikiem pośrodku, który wcześniej widzieli z góry zza przeszklonego otworu w centrum kontroli kadzi. Robot trzymający lekarza, zatrzymał się na moment i skierował się w prawo.

- Rzucaj! – krzyknął Richard. – Już!!!

Harold zamachnął się. Granat poszybował i wylądował dokładnie w wyciągniętej ręce lekarza. Richard uzbroił ładunek i rzucił pod nogi czarnemu robotowi. Granat eksplodował. Maszyna wydała z siebie przeraźliwy pisk i rozpadła się niemal na pół, rozlewając wokół siebie gęstą, atramentową ciecz. Doktor Grey z dymiącą czupryną wy dostał się z objęć robota. Harold podbiegł i pomógł mu wstać.

- Uff... to się nazywa przeżycie... – powiedział.

- Uważaj!... – krzyknął Richard i pociągnął go ku ziemi. Ogromne, mechaniczne ramię pośrodku skrzyżowania chodników nagle świsnęło im nad głowami. Odczuli się na bezpieczną odległość. Dźwig wykonywał chaotyczne ruchy we wszystkie strony.

- Co jest?! – krzyknął Harold.

- Ładunek magnetyczny z granatu musiał uszkodzić tego żurawia – powiedział Richard. – Musimy go wyłączyć, bo dalej nie przejdziemy... Ale jak?...

- Hej!... – dobiegł ich głos zza ściany z lewej strony.

- Co to było? – spytał Harold. – Też to słyszałeś?

- To muszą być ci ludzie, których widzieliśmy na górze – odrzekł i krzyknął w kierunku skąd dobiegł ich głos: - Hej! Wiecie jak to wyłączyć?!

- Komputer pod ścianą! Pospieszcie się!

Richard spojrział w prawo. Faktycznie, stał tam terminal. Wyglądał na podniszczony, ale zauważyli migające diody na konsoli. Doktor Grey obserwował przez moment zwariowane, mechaniczne ramię. Gdy znalazło się odpowiednio daleko schylił się i podbiegł do komputera. Harold wstrzymał oddech. Richard na kuckach zaczął stukać w klawisze terminala. Dostrzegł opcję "Kontrola ramienia". Wybrał ją i odruchowo złapał za dźwignię tuż obok konsoli. Żuraw nagle znieruchomiał.

Richard i Harold odetchnęli w tym samym momencie. Doktor Grey po chwili prób ustawił ramię w pozycji wyjściowej. Harold podszedł do niego.

- To się nazywa prawdziwe przeżycie! – powiedział z wyraźną ulgą na twarzy.

- Spróbujmy ich stamtąd ściągnąć – odrzekł i spojrział z powrotem do komputera.

- Ile tu jest opcji do wyboru... To istna fabryka mutantów!... – Po chwili znalazł to, czego szukał. – Chyba mam: "Kontrola klatek". Podejźmy do nich.

Obeszli nieruchomy dźwig i podeszli do jednej z trzech ogromnych kadzi. Tuż nad nią dostrzegli klatkę, a w niej dwoje uwięzionych ludzi, mężczyznę i kobietę.

- Słyszycie nas? – zapytał lekarz.

- Tak! – odrzekł chłopak. – Pomóżcie nam, zabierzcie nas stąd!

- Zrobimy, co w naszej mocy! – powiedział Richard. – Ale jak się tu znaleźliście?

- Wędrowaliśmy z północy – powiedziała dziewczyna, bardzo ładna blondynka, – złapały nas te zielone stwory i przyprowadziły tutaj. Proszę, wydostańcie nas stąd!

- Dobrze! – odparł lekarz. – Znalazłem w tym komputerze opcję kierowania tymi klatkami. Spróbuję sprowadzić was bezpiecznie na ziemię.

- Swoją drogą, dzięki za podpowiedź! – dodał Harold z uśmiechem.

Chłopak pokazał mu wyciągnięty kciuk.

- Harold będzie mnie instruował – powiedział doktor Grey i skierował się ku terminalowi. Harold ustawił się przy zachodniej alejce w taki sposób, by widzieć i jego, i uwięzioną parę. Alejka wiodła do białych drzwi z napisem "Laboratorium II".

- Spokojnie, Richardowi można zaufać jak nikomu – rzekł z uśmiechem.

- Umie to obsługiwać? – zapytał chłopak.

- Cóż, wyłączyć to dziadostwo potrafił, więc i z wami da sobie radę – odparł. – A tak między nami, to jak mogę się do was zwracać?

- Nazywam się Tom Lincoln – odrzekł chłopak. – A to jest Sarah. Proszę was, pospieszcie się! To zielone w beczkach dziwnie na nas działa...

- Co się dzieje? – spytał Harold, spoglądając, jak Richard przestawia puste klatki znad innych bań z płynnym wirusem.

- Ja mam zawroty głowy – odparła Sarah, – a czasami drgawki na całym ciele. Tom już kilka razy wymiotował...

- To nieciekawie... – mruknął Harold. – Richardzie, długo jeszcze? Miałeś rację, to ustrojstwo z kadzi działa nawet bez bezpośredniego kontaktu z człowiekiem.

- Jeszcze moment! – odpowiedział doktor Grey.

- Słuchajcie, jak długo tu przebywacie? – zapytał karawaniarz.

- Od wczoraj rana – odpowiedział Tom. Nagle ich boks zachybotał się. Oboje krzyknęli.

- Spokojnie! Spokojnie, już wiem jak to działa! – powiedział doktor Grey. – Haroldzie, kontroluj bieg tej klatki!

Harold patrzył jak metalowy kojec obiega w powolnym tempie prawy brzeg kadzi. Wyjechał nad alejkę, przy której stał Harold. Zatrzymał się. Coś trzasnęło i klatka zaczęła się opuszczać na grubym łańcuchu. Wtedy nagle wszystkie lampy w ogromnej hali zamigotały i zgasty. Harold spojrzał na Richarda. Był oświetlony blaskiem monitora i gorączkowo uderzał w klawisze. Po chwili światło ponownie zaświeciło się. Klatka z Tomem i Sarą znieruchomiła.

- Dlaczego ona nie jedzie? – spytał Harold. – Richardzie?

- Coś jest nie tak – odrzekł lekarz. – Ten komputer w ogóle nie reaguje na polecenia!...

Ich uszu dobiegł wrzask dziewczyny. Kojec z uwięzioną parą poszybował z powrotem w górę i ze znacznie większą szybkością wrócił na swoje poprzednie miejsce.

- Richard, ratuj ich!!! – krzyknął Harold, łapiąc się za głowę.

Tom i Sarah wrzeszczeli w niebogłosey. Doktor Grey zaczął z bezsilności walić pięściami w komputer. Nie miał nad nim żadnej kontroli. Tymczasem klatka zakołysała niebezpiecznie ponad kadzią. Powoli podjechała do bani. Nagle urwała się z mocującego łańcucha. Sarah i Tom z głuchym wrzaskiem, wciąż uwięzieni w boksie, wpadli do zbiornika, rozbryzgując przy tym znajdującą się w nim ciecz. Harold patrzył na to z otwartymi ustami. Z szoku wyrwał go dopiero Richard.

- Haroldzie, wytrzymaj to, szybko!

Harold spojrzał na swoje ręce i koszulę, które ubrudzone były w gęstym, zielonkawym płynie. Podczas upadku uwięzionej pary nieco mazi musiało wypaść z kadzi wprost na niego.

- Ależ to chłodne!... – powiedział karawaniarz, strzepując ciecz z odzieży. – Cholera, mam nadzieję, że to się nie zabrudzi – wskazał na poparzoną dłoń, o której prawie całkowicie zapomniał. Bandaż przesiąkł zielonym płynem.

Richard odruchowo sięgnął do swojej torby, której jednak nie było.

- Poczekaj, musiałem zostawić ją w windzie – pobiegł w kierunku korytarza, na końcu którego znajdował się elewator.

Harold w tym czasie spojrzał na gigantyczny zbiornik. Było mu tak strasznie żal tych młodych ludzi. Mimo cichego warkotu klimatyzacji w górnych częściach pomieszczenia, panowała tu przygniatająca cisza. Nagle poczuł, że kręci mu się w głowie. Usiadł na metalowej podłodze. Po chwili usłyszał stukot kroków Richarda. Lekarz wrócił i szybko zabrał się za zranioną dłoń przyjaciela. Oczyszczył miejsce poparzenia i obszar wokół rany. Założył opatrunek. Harold zrobił się blady jak ściana.

- Haroldzie, co się dzieje? – zapytał lekarz.

- Ale mam kręćka... – odparł cicho. – Nie czuję się najlepiej...

Nagle obrócił się na bok i zwymiotował. Richard poklepał go po plecach. Odciągnął i ustawił w pozycji siedzącej, opierając go o barierkę. Wyciągnął z torby strzykawkę i założył na nią igłę.

- Co to...?

- Coś o podobnym działaniu do adrenaliny – odrzekł. – Dojdiesz do siebie za moment. Ja spróbuje dostać się tam – wskazał ręką na szczyt kadzi – i zobaczę, czy tych ludzi da się jeszcze uratować.

- Wiesz... to chyba naprawdę jest szkodliwe... – jęknął Harold. – Uważaj...

- Będę ostrożny – odrzekł Richard i wbił strzykawkę w jego ramię. Harold odetchnął i skinał głową.

Doktor Grey wstał podszedł do kadzi. Z lewej strony umiejscowione w niej były schodki, które tworzyły drabinę w górę i dół. Richard obejrzał je dokładnie i zaczął po nich wchodzić. Harold czuł, że siły powoli mu wracają. Dźwignął się, ale jeszcze nie mógł wstać. Bez słowa, głęboko oddychając, obserwował wspinającego się lekarza.

Richard dotarł do szczytu zbiornika i spojrzał do środka. Zielonkawa ciecz mieniła się w nim, pozostając w ciągłym ruchu, jakby coś bez przerwy mieszało ją na dnie kadzi. Po Sarze i Tomie nie było śladu.

- Nie ma ich! – krzyknął w kierunku Harolda. – Spróbuję wziąć nieco tego płynu do próbki i schodzę!

Harold podniósł się, wciąż obserwując doktora Greya. Nagle skierował wzrok wyżej i zauważył kogoś machającego do niego rękoma. Znajdował się za szybą, przez którą obserwowali wnętrze hali z poziomu czwartego bazy. Wytężył wzrok.

- Mark? – szepnął.

Czarnoskóry chłopak pokazywał w swoje prawo, najwyraźniej coś krzycząc.

- Co on...? – zaczął Harold i spojrzał w tamtym kierunku. Zauważył jak mechaniczne ramię uniosło się i zaczęło obracać z ogromną szybkością. Nagle wystrzeliło w kierunku kadzi, na której stał doktor Grey.

- Richardzie!!!

Lekarz obrócił się, ale było za późno. Żuraw łupnął w niego. Richard zachwiał się i zdażył tylko krzyknąć:

- Harold!...

Po tym wpadł do zbiornika. Harold wrzasnął i podbiegł do kadzi. Chciał się na nią wdrapać, ale brakło mu powietrza. Zrobiło mu się ciemno przed oczyma. Kucnął obok wielkiej bani. Zauważył leżące na podłodze rozbite okulary lekarza. Chwycił je.

- Richardzie!...

Stracił przytomność.

Rozdział XV: Epilog

Mark leżał na jednej z prycz w pokojach mieszkalnych ochrony na poziomie pierwszym. Czekał już od kilkudziesięciu minut w okropnym smrodzie rozwalonego opodał mutanta, rozmyślając nad wszystkim, co przeżył przez ostatnie godziny. Zraniona noga rwała go niemiłosiernie, postanowił zmienić pozycję. Wtedy nagle światło w bazie zgasło. Przestraszył się i odruchowo sięgnął po broń, ale po chwili przypomniał sobie, że przecież oddał ją Francine. Zaczął szybko oddychać. Kilkanaście sekund później oświetlenie zadziało na nowo. Nagle czerwone lampy nad każdym z wejść do pokoju zamigotały na czerwono i przez bazę przeszedł krótki, bardzo głośny dźwięk. "Alarm", pomyślał. Oby nic im się nie stało. Nie może tu tak siedzieć, przecież czuje się już lepiej! Musi zejść na dół i im pomóc.

Dźwignął się na pryczy i wstał z niemałym trudem. Pokuśtykał, co sił w nogach do windy, wszedł do niej i nacisnął przycisk z numerem trzy. Na poziomie trzecim skierował się od razu w stronę wielkiej hali z motylem na ścianie. Przeszedł ją po

przekątnej i wszedł do korytarza, który wcześniej patrolował robot strażnik. Zauważył mnóstwo krwi. Poczuł, że jego własna odpycha mu z twarzy. Po chwili jednak skojarzył, że jest to właśnie jego krew. "Doktor Richard mnie tu operował...", pomyślał i odetchnął z ulgą. Minał wrak robota i skręcił w prawo za róg. Aż upadł z wrażenia na widok, który zobaczył! Kolejny... W jego wyobraźni zaczęły się tworzyć wizje hord mutantów ujeżdżających piekielne maszyny z rurowatymi kończynami. Podszedł do windy, nacisnął przycisk ze strzałkami skierowanymi w dół. Nic się nie stało. Próbował dalej i dalej, ale żadnej reakcji. Czuł, że zaczyna go ogarniać panika. "Spokojnie, tylko spokojnie, przecież ich tu nie ma..." Postanowił poszukać gdzie indziej, tylko gdzie?

Opuścił korytarz i znalazł się z powrotem w wielkiej hali z motylem. Naprzeciwko zauważył kolejne przejście. No tak, przecież stamtąd rzucał do robota! Udał się w tamtym kierunku. Noga zaczęła krwawić. Skręcił w lewo, minął "Kwatery naukowców". Jest winda! Uderzył w przycisk, po chwili przyjechała. "Gdzie teraz?", myślał gorączkowo. Minał pokoje mieszkalne po lewej stronie. Nagle światło w bazie ponownie zgasło. Gdy hol rozświetlił się, zauważył coś dziwnego na wprost od niego. Przeszedł przez drzwi do pomieszczenia oznaczonego "Kontrola kadzi. Bazy danych". "Co to jest?", pomyślał, spoglądając na ogromne okno, za którym widniała hala jeszcze większa od tej poziom wyżej. Podszedł do szyby i zamarł z wrażenia. Jednak trwało to krótko. Nagle zauważył na dole wujka Harolda. Leżał przy barierce i patrzył ponad siebie. "Może mnie zauważy!...", zamachał rękoma wrzeszcząc w niebogłosość:

- Tutaj!, Wujaszku, tutaj!

Ale nie reagował. Wciąż patrzył nad siebie. Tylko na co? Po chwili uzyskał odpowiedź. To doktor Richard wspinał się po tej wielkiej beczce. Zajrzał do środka i krzyknął coś w kierunku Harolda. Nagle Mark zauważył, że jakieś urządzenie pośrodku chodnika, przypominające dźwig, zaczęło wykonywać dziwne ruchy. Obracało się coraz szybciej i szybciej. Przecież za chwilę uderzy w doktora! Ponownie zaczął krzyczeć i machać rękoma. W końcu wuj Harold go dostrzegł.

- Tam! Tam!!! – pokazywał na mechaniczny dźwig, który chyba oszalał!

Harold spojrział w tamtym kierunku. Krzyknął coś do doktora, który wyprostował się i odwrócił. Wtedy dźwig uderzył w niego. Mark patrzył jak doktor Grey z przerażeniem w oczach wpada do zielonego płynu wewnątrz ogromnej beczki. Złapał się za głowę.

- Mój Boże... Mój Boże!... – jęknął.

Trzeba ich ratować! Jak się tam dostać? Opuścił pomieszczenie i poszedł w lewo. Zauważył przejście w prawo oraz pokój oznaczony "ŚCIŚLE TAJNE" naprzeciw niego. Och, jak chciałby nigdy się w nim nie znaleźć!...

Rozpacz odebrała mu wszelkie siły. Patrzył na zastygłą w bezruchu twarz swojej ukochanej siostry, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. Płakał jak jeszcze nigdy w życiu. Już więcej się do niego nie odezwie, nie uśmiechnie, nie zażartuje z wujka Harolda. Jej oczy już nie zabłysną zdecydowaniem i energią, której zawsze była pełna. To było ponad jego siły...

Otrząsnął się po dłuższej chwili, przypominając sobie nagle widok wpadającego do kadzi doktora Richarda. To wszystko jego вина... To wszystko to był jego pomysł! Ale nie wujaszka... Musi go uratować!

Po raz ostatni przytulił do siebie siostrę, podobnie jak ona jego, gdy opuszczał trzeci poziom bazy. Miał świadomość, że widzi ją po raz ostatni. Nie da rady wynieść i jej, i wujka Harolda. Z trudem wstał i opuścił pokój. Nie zauważył, że obok schnącej

krwi Francine, pozostawił mnóstwo własnej. Instynktownie skierował się naprzód do korytarza, który zaprowadził go do zniszczonej windy. Nacisnął przycisk i czekał. Winda jechała w górę długo. Bardzo długo. Chciałby, żeby znalazła się tu jak najszybciej, żeby odgonić sprzed oczu przerażoną, martwą twarz siostry. Nie chciał jej takiej oglądać. Łzy same płynęły mu z oczu. Nie kontrolował tego.

Winda podjechała. Po kolejnych, jeszcze dłuższych minutach zatrzymała się na dole. Ale drzwi się nie otwały. Mark naciskał guziki, ale nic się nie działo. Jak to się otwiera? Otwieraj się!

- OTWIERAJ SIĘ!!! – wrzasnął z bezsilności i rozpacz.

Drzwi otworzyły się. Wypadł z elewatora i najszybciej jak mógł pobiegł do wątego światła na końcu korytarza. Mechaniczny dźwig ugrzązł w ścianie po lewej stronie. Tuż pod nim znalazł wujka Harolda.

- Wujaszku, wujaszku, słyszysz mnie? – mówił gorączkowo.

Harold nie reagował.

- Wujaszku!... Proszę...

W końcu Harold poruszył głową i wymamrotał.

- Richard?...

- Nie, to ja Mark! Musimy stąd uciekać...

- Mark?... Ratuj Richarda... On... jest tam...

- Nie, on nie żyje! Proszę, ocknij się!...

- Nie... nie żyje?... To niemożli...

Ponownie stracił przytomność.

Mark sam nie wiedział jak udało mu się zawlec bezwładne ciało wujka na pierwszy poziom bazy. Wyszli na zewnątrz. Było gorące, letnie południe. Mark z Haroldem na ramieniu szedł przed siebie, sam nie wiedząc dokąd. Nie wiedział jak daleko zajdzie w ten sposób. Tracił siły w szybkim tempie. Próbował opatrzeć sobie ranę, ale nie wiedział jak. Krwawił bardzo mocno.

Czuł, że jego koniec jest blisko. Zlany potem i umazany piaskiem zaczął uderzać Harolda po twarzy.

- Wujaszku... wujaszku...

Harold przebudził się.

- Richard?...

- Nie, wujaszku... Słuchaj... musisz iść dalej sam... ja już nie dam rady – wysapał Mark.

- Tak... muszę iść...

- Musisz... *obiecuj, że przeżyjesz...*

- Tak...

- Obiecuj... dla Francine...

Mark padł twarzą w piasek pustyni. Harold jęknął jeszcze:

- Francine...

Zemdlał.

*

Harold ocknął się. Zdziwił się, że maszeruje na klęczkach. Gdzie on jest? Rozejrzył się wokół. Przed nim i za nim była jedynie pustynia. Spojrzył na zaciskane w dłoni, zniszczone okulary doktora Greya. Ponownie stracił świadomość ale, choć sam o tym nie wiedział, posuwał się dalej. W nielicznych przebłyskach przypominały mu się jakieś sceny. Roboty, ogromne balie wypełnione czymś zielonym, dwójka

uwięzionych ludzi i Richard, jego przyjaciel, ten genialny lekarz i wspaniały człowiek. Richard, wpadający do kadzi z mazią, uderzony dźwigiem, bezwładny, przerażony...

- Haroldzie! Haroldzie, ocknij się!
- Richard?...
- Nie, to ja John Carlow. Pamiętasz mnie? Wędrowaliśmy razem.
- Carlow... tak pamiętam...
- Hej, co ty robiłeś sam na pustyni? Nie mogę tego pojąć, mówisz, że na razie zawieszasz wędrowki, że idziesz na urlop.
- To cholernie długa... cholernie zła historia...
- Zła? Ale co się z tobą stało?
- Nic... Zginałem...
- John uśmiechnął się i potrząsnął głową.
- Jesteś niemożliwy...

Harold nie wiedział jak długo jedzie, ale wiedział, że jedzie w karawanie. Karawanie starego przyjaciela. Jednak po jakimś czasie czuł jakby przez skórę, że zaczyna się dziać coś niedobrego. Usłyszał strzępek rozmowy.

- Nic mnie nie obchodzi, że to twój kumpel – mówił ktoś niskim głosem. – Albo go odizolujesz, albo wylatuje z karawany, a on razem z nim.
- Przecież nic złego się nie dzieje! – oponował Carlow.
- On się robi *zielony*! – krzyknęła jakaś kobieta. – Według ciebie nie ma w tym nic złego?! Nie chcę, żeby moje dzieci, albo ja złapały to od niego!
- Harold zadrżał na całym ciele.
- Dobrze – odparł Carlow po chwili – sam się nim zajmę.

- Haroldzie, słyszysz mnie?
- Harold kiwnął głową.
- Słuchaj... jak to ująć... coś się z tobą dzieje. Nie wiem z czym się zetknąłeś i nie pytam, ale ludzie nie chcą cię w karawanie. Boją się, że ich pozarażasz.
- Co proponujesz? – spytał pusto Harold.
- Odłączam swój wagon i zabieram cię do Hub. Chyba masz tam swój dom, prawda?

- Harold przytaknął.
- Pomogę ci tylko w taki sposób. Nie jestem tam mile widziany... wiesz, mam parę długów. Dalej będziesz musiał radzić sobie sam.
- Harold ponownie skinął głową. Carlow chciał odejść, ale zatrzymał go.
- Tak?
- Harold wyciągnął sinozieloną dłoń.
- Dzięki, John. Równy z ciebie gość.

Karawaniarz ucisnął ją bez krzty zawahania. Kiwnął głową i odszedł. Harold spojrzął na swoje ciało. Było sinozielone, tak jak i jego dłoń. Łzy stanęły mu w oczach. Momentalnie zamrugnął powiekami, gdy poczuł pod nimi piekący ból. Oddał się całkowicie bezwolnej rozpacz. Żalu, którego nie mógł ukoić nawet płaczem. I myślom o nieudanej ekspedycji, jego i Richarda, którego okulary wciąż obracał między *mutującymi się* palcami.

Nie wiedział jeszcze, że do czasu dotarcia do The Hub straci oko i zmieni się całkowicie. Nie mógł się spodziewać, że mieszkańcy miasta zareagują na jego widok z tak wielkim wstrętem, że zaczną wyzywać go od "ghuli" i "umarlaków", nawet ci,

k którzy go wcześniej znali i darzyli sympatią. Nie miał pojęcia, że będzie wyśmiewany i jeszcze długo przyjdzie mu się spotykać z przejawami obrzydzenia, a nawet agresji. Dopiero po latach *normalni* ludzie zaczną darzyć go szacunkiem za to jakim jest człowiekiem, a nie za to jak wygląda. A przez cały ten czas będą mu towarzyszyć twarze Teda, Mortona, Hardego, Zacka, Marka, Francine i wpadającego do kadzi doktora Greya. Richarda...

*

Mechaniczne ramię ugrzęzło na dobre w twardej ścianie, powodując ogromne przeciążenia w instalacji elektrycznej bazy wojskowej Mariposa. Raz po raz światła migotały, sygnalizując załączanie i wyłączanie generatorów prądu. W końcu dźwięk dał za wygraną. Oderwał się od podstawy pośrodku łączenia alejek i z impetem uderzył w górną część kadzi z płynnym wirusem. Lampy zgasły ponownie. Cios był tak potężny, że ogromna balia przechyliła się i zaczęła opadać. Zatrzymała się dopiero na murze, środkową częścią opierając o metalowy chodnik. Mnóstwo płynnego wirusa rozlało się po hali.

Coś poruszyło się wewnątrz kadzi. Po chwili okropnie zmieniona, ludzka ręka sięgnęła do krawędzi bani. Z największym trudem i jękiem coś, co kiedyś było bystrym naukowcem i świetnym lekarzem, podźwignęło się i z hukiem wypadło na metalowy chodnik. Doktor Grey cały oblepiony był płynnym wirusem. Nie widział na oczy. Chciał je przetrzeć dłońmi, ale nie czuł ich. Czuł tylko okropny ból, wszechobecne, porażając cierpienie.

Spróbował zamrugać oczyma. Nagle coś zauważył. Jakieś pionowe pręty. To chyba barierka. Musi leżeć na boku. Poczul, że może wstać. Widział tylko na jedno oko, ale to mu wystarczało. Zauważył przechyloną kadź i pełno zielonkawej mazi wokół niego. "Gdzie jest Harold?", pomyślał. Przecież musi tu gdzieś być...

Chciał go zawołać, ale nie mógł. Rozglądał się jedynym sprawnym okiem, skupiając przy tym całą wolę, aby wydobyć z siebie głos.

- Haroldzie!... – powiedział. Ale zupełnie nie poznał brzmienia swojej mowy. Była dziwnie niska, charcząca, *zmutowana*.

Postanowił, że wstanie. Skoro już się dźwignął, to i może to mu się uda. Ale nie dał rady. Jak to możliwe, że rozgląda się wokół? Chciał odwrócić się na bok, ale nie zrobił tego całym ciałem – zrobiło to tylko jego *oko*. Było umiejscowione na długim mięśniowym włóknie i spoglądało na ciało jego właściciela, a raczej to, co z niego zostało. Wcale się podniósł. Ogromna, bezkształtna breja w kolorze ludzkiej skóry, leżąca bezwładnie na żeliwnym chodniku, i niewielka głowa na jej szczycie – oto był widok z oka, które nie miało już miejsca w oczodole. Ręce nie miały palców, nogi były zrośnięte, a w brzuchu znajdowała się obrzydliwa dziura.

Richard patrzył na to z przerażeniem, z paniką, z trwogą! Nie docierało to do niego. Nie mógł i nie chciał w to uwierzyć. Znów poczuł ten nieznośny ból. Przeszywał mu całe ciało. Był torturą, mordęgą!... Nie zniesie tego dłużej!

- Umieram...

Rozdział XVI: Mistrz i Ghul

...